

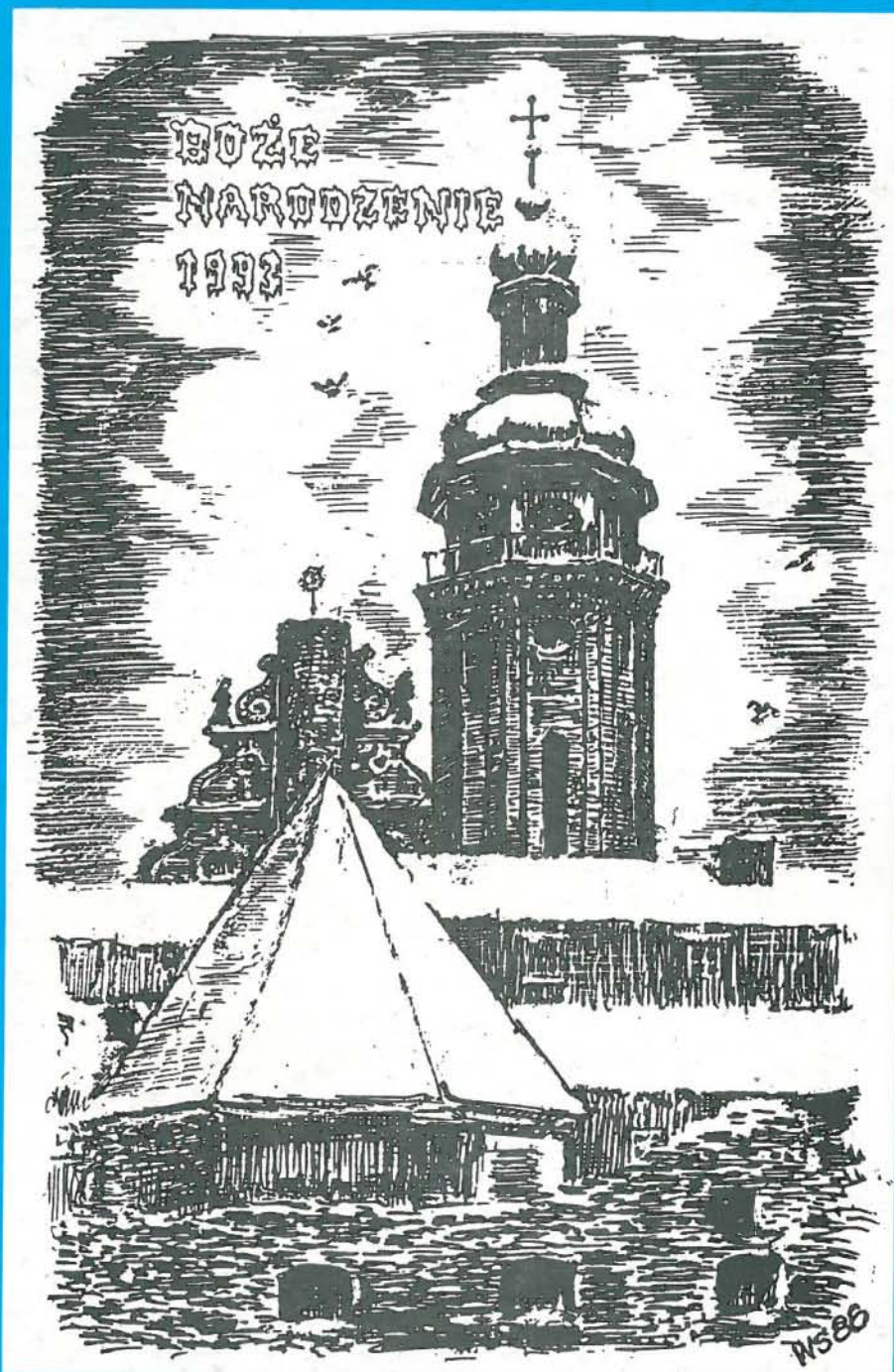


SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

4 (17) 1993

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



DANUTA NESPIAK	
Gloria malutkiej „Wspólnej Europie” pod Wysokim Zamkiem	1
JERZY MASIOR	
Pierwsza zima	5
ZBYSŁAW POPLAWSKI	
Gimnazja na odłączonych ziemiach Małopolski Wschodniej (dokończenie)	7
S.E. RIEDLOWEI	
Historia firmy „Edmund Riedl” we Lwowie	10
IRENA SUCHANEK	
Dziadzio — Józef Swatoń	13
ARTUR HUTNIKIEWICZ	
Lwowskie „Zaświecie”	18
ANDRZEJ CHLIPALSKI	
Od Szkła do Kosowa	22
WIKTOR DZIULIKOWSKI	
Lwowscy kominarze	25
STANISŁAW KARPIAK	
Pukawka	26
ZDZISŁAW OJRZYŃSKI	
Lwowskie piwnice	29
JANINA AUGUSTYN-PUZIEWICZOWA	
Moje lwowskie dziecięce Boże Narodzenie	32
DANUTA ŚLIWIŃSKA	
Moja wilia na Snopkowie	33
DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ	
Nasza polska wigilia 3 lata temu we Lwowie	36
DANUTA NESPIAK	
Strzecha Stryjska i inne środowiskowe wydawnictwa kresowe.	37

Redaguje Kolegium w składzie: Krzysztof Bulzacki, Andrzej Chlipalski, Wiesława Jeleńska-Hombek, Andrzej Kaminski, Danuta Kotowicz, Danuta Nespiak, Zdzisław Ojrzyński, Danuta Śliwińska, Danuta Tabińska-Juhasz, Jan Ziembicki

Redakcja: Zdzisław Ojrzyński — redaktor naczelny, Danuta Nespiak

Adres Redakcji: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Wrocław, Rynek-Ratusz 7/9 tel. 44-88-93.

Wydawca: Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS” — PKO IV O/Wrocław
Nr 93549-10012-132-3

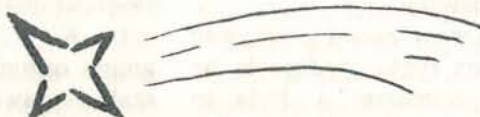
Prezes Fundacji mgr Danuta Tabińska-Juhasz

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych

Drodzy Czytelnicy, Drodzy Kresowianie!

Od stołu wigilijnego kierujemy do Was Drodzy Czytelnicy w Kraju i zagranicą najserdeczniejsze i najlepsze życzenia otrzymania wszelkich łask Bożych, przede wszystkim dobrego zdrowia, szczęścia i wszelkiej pomyślności w nadchodzącym 1994 roku, który niech połączy nasze myśli, zamiary i działania.

Życzeniami naszymi ogarniamy również naszych Rodaków z Wileńszczyzny i Grodzieńszczyzny.



DANUTA NESPIAK

Gloria malutkiej „Wspólnej Europy” pod Wysokim Zamkiem

W pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia roku Pańskiego 1586 wielka uroczystość odbyła się w katedrze lwowskiej. Do licznie zgromadzonych obywateli miasta, rajców, ławników, gości, wśród których był Stanisław Radziwiłł z Ołyki przemawiał arcybiskup lwowski Jan Dymitr Bończa-Solikowski oświadczając, że Lwów, wystawiony na napady mahometan wiarę apostolską niby gwiazdę poranną zachowuje i w nagrodę papież Sykstus V ze swego rodowego herbu do herbu wiernego miasta dodaje trzy pagórki i ośmioramienną gwiazdę, które lew w łapie odąd dzierżyć będzie. Dokument papieski złożył Solikowski na ręce burmistrza Stanisława Anseryna a przedstawiciel miasta Andrzej Sambor odpowiedział, że „ani senat ani naród lwowski nie może znaleźć słów godnych na tak wzniosłe obwieszczenie.” Uroczystość ta zakończyła się świątecznym obiadem w kamienicy arcybiskupiej na rynku lwowskim.

Rynek ten jest do dzisiaj głównym placem zabytkowego Lwowa, założony zgodnie z wolą Kazimierza Wielkiego na tym miejscu a nie tam, gdzie był pierwszy gród ruski księcia Daniela Halickiego. Wytoczony w kształcie czworoboku, z którego naroży wybiega osiem ulic swoim założeniem urbanistycznym sięga czasów kazimierzowskich. Lwów księcia Daniela wspinający się na zachodnim stoku góry zamkowej nie nadawał się pod nową lokację. Kazimierzowski Lwów był nowym organizmem prawnouurbanistycznym. Dalekowzroczną polityką objął król i sprawy kościoła, kierując do Rzymu prośbę o utworzenie metropolii łacińskiej na odziedziczonej ziemi (drugiej najstarszej po gnieźnieńskiej metropolii w Polsce). Był też fundatorem gotyckiej katedry we Lwowie, czynnej nieprzerwanie dzięki Opatrzności Bożej, do dnia dzisiejszego. Zbudowano ją naprzeciw południowo-zachodniego naroża rynku, które zajmuje do dzisiaj kamienica nr 23 zwana „Szolcwołfowiczowską”.

Liczny też mieszkaniec cisnął się do miasta obdarzonego przez króla szerokim samorządem, gdzie prawo miejskie obejmowało wszystkich mieszkańców bez względu na pochodzenie i wyznanie. Byli tu oprócz Polaków, Rusinów, Ormian liczni Niemcy, Żydzi a potem Tatarzy, Włosi, Grecy, Węgrzy, a nawet Anglicy i Szkoci a królowie polscy baczili, by każdy mógł się modlić we własnych świątyniach, kościołach, cerkwiach i synagogach. I tak do tej malutkiej wspólnej Europy, którą stał się Lwów już w XV wieku, zawitał w 1470 roku Włoch Filip Buonaccorsi zwany Kallimachem rodem z San Gimignano koło Sieny. Młodość spędził we Florencji i Wenecji a potem przybywał w Rzymie, skąd musiał uchodzić bo był ponoć zamieszany w spisek antypapieski. Ten humanista i poeta zbiegł na wyspy greckie i stąd przez Turcję wywędrował gdzie? No oczywiście do Lwowa.

Na stolicy arcybiskupstwa łacińskiego zasiadał wówczas znakomity Grzegorz z Sanoka, humanista, poeta, mecenas kultury, który w potrzebie sam dowodził obroną swojego zamku w Dunajewie przed oblegającymi go Tatarami. Arcybiskup był człowiekiem renesansu — zapraszał na ucztę na których czytano poezję Wergiliusza, prowadzono uczone dysputy ale miał miejsce i żart wykwitny. Filip Buonaccorsi, przyszły wychowawca i nauczyciel synów króla Kazimierza Jagiellończyka, gościł na dworze arcybiskupim Grzegorza we Lwowie. Miał on siedzibę w gotyckiej kamienicy na rynku lwowskim na posesji pod nr 9. Dzisiaj pod tym numerem stoi kamienica zwana arcybiskupią, wzniesiono ją w 1630 roku. Nie ma tylko na niej już tablicy z inskrypcją: Michał Korybut, król Polski, Wielki Książę Litewski etc. spiesząc do wojska przeciw Turkom, nagłą zaskoczony chorobą w tym domu życia dokonał dnia 10 listopada 1675 roku”.

Filip Buonaccorsi przebywał we Lwowie dwa lata.

Kiedy i w jakich okolicznościach napisał uroczy epigramat o XV-wiecznych lwowiankach – możemy się tylko domyślać, że nie było to na dworze arcybiskupim.

*Jako we Lwowie są dziewczki przecudne
A mieszczek lwowskich czar szeroko znany
Przeto, gdy staną przy muzyce w tany
Zda się tańczyć wieniec kwiatów złudny
Znajdziesz tam róże, lilje,, co wonią
Wzrok twój rozjaśni i lico rozplonią...
Więc z cudzoziemców niech każdy się dowie
Że Amor w służbie – u niewiast we Lwowie!*

Ze Lwowa unosząc wspomnienie zwłaszcza mieszczańczki Hanusi wyjechał Kallimach do Krakowa, gdzie wstąpił do służby królewskiej.

W sto lat później, kiedy Lwów zaczął przeżywać swoje złote czasy kupieckie na rynku wydarzyła się tragedia w kamienicy pod numerem 3. Była to własność starego rodu Wilczków. W pięknej Annie Wilczkówny zakochał się florentyjczyk Urban della Ripa Ubaldini. O taniec z piękną panną posprzeczał się Włoch z mieszczańcem Pawłem Jelonkiem. Polak spoliczkował Florentyjczyka a ten rapierem zranił go śmiertelnie. Ubaldiniego od utraty gardła ocaliło florenckie szlachectwo, brak prawa sądenia przez sąd miejski we Lwowie a gdy i rodzina zabitego przebaczyła mu po chrześcijańsku na prośbę Anny, wyszedł z więzienia. Jak napisał burmistrz XVII-wiecznego Lwowa Bartłomiej Zimorowicz, Ubaldini „życia swego obrońcielle cały się w śluby małżeńskie oddał”. Ubaldini, krewny papieży i kardynałów rzymskich zamieszkał z Anną w kamienicy Wilczkowskiej. Ich syn Jan był później ławnikiem lwowskim.

Dużo było Włochów we Lwowie – m.in. z Florencji pochodził założyciel pierwszej poczty w mieście Roberto Bandinelli. Mieściła się ona na rynku pod nr 2. Ale wśród właścicieli posesji rynkowych byli również Niemcy, co polszczyli się, a można powiedzieć „lwowieli” już w pierwszym lub drugim pokoleniu – Scholzowie, Scharfenbergowie czy Alncepkowie.

Do XVI-wiecznego Lwowa przejechał ze starego Fryburga w Badenii Johan Alpeck. Jego syn pisał się już Jan Alembek i doszedł z czasem do godności rajcy i burmistrza. Miał zamiłowania historyczno-literackie, które zaowocowały w postaci pierwszego w dziejach opisu Lwowa „Topographia Civitatis Leopolitanae”. Ukazał się on w dziele „Civitatis orbis terrarum” wydanego w Kolonii w 1618 roku. Syn Jana Walerian uzyskał doktorat medycyny w Padwie. Po powrocie do Lwowa, został z czasem racją miejskim i lekarzem króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Jego syn Walerian – junior ukończył medycynę w Montpellier we Francji, wrócił również do rodzinnego miasta i prowadził praktykę lekarską. Chyba udaną gdyż Jan III Sobieski mianował go swoim lekarzem przybocznym. Kamienica zwana Alembekowską stoi na rynku pod nr 12.

Ormianie byli obecni we Lwowie od samych jego narodzin, i w grodzie Daniela Romanowicza i w mieście Kazimierza Wielkiego. Staropolski Lwów bez

Ormian nie byłby Lwowem. Ormiański kwartał otoczony był – jak pamiętamy – ul. Skarbkowską od północy i Ormiańską od południa, z katedrą i klasztorem SS Benedyktynów Ormiańskich. Zrósł się z miastem i pozostawił tu niezatarte piękno swojej kultury. Na przełomie XV i XVI wieku spisano we Lwowie Statut Ormiański, obowiązujący wszystkie kolonie ormiańskie. Zatwierdził go król Zygmunt Stary w 1519 roku. Rok przed zatwierdzeniem tego Statutu społeczność ormiańska we Lwowie została poruszona dramatem swego rodaka Iwaszka Tychonowicza. Rajcy miejscy oskarżyli Ormianina, że żył na wiarę z Zofią – Polką obrządku łacińskiego, którą trzymał na służbie. Owocem miłości była mała dziecina. Sąd ławniczy obarczył ich ciężkim zarzutem świętokradstwa i obydwójce spłonęli na stosie w 1518 roku. Król Zygmunt Stary do którego zwróciła się gmina ormiańska skarcił sąd ławniczy, że się w mieszał w sprawę do nich nie należącą i rozkazał rajcom wypłacić każdemu Ormianinowi we Lwowie „po groszy dwadzieścia”. Złożoną sumę 24 czerwonych złotych gmina ormiańska wielkodusznie zwróciła radzie. Tacy byli lwowscy Ormianie.

Nie wiem czy zachował się jeszcze w katedrze ormiańskiej pomnik nagrobny patriarchy Armenii, który zmarł we Lwowie w 1551 roku. Wracając z Rzymu i w tym mieście duszę swoją Bogu oddał o czym mówił następujący napis: Hoc sepulcrum est reverendissimi Patris Stefani Patriarchae Majoris Armeniae qui Roma fuit et Leopolim adveniens animam suam Deo tradidit A.D.1551. Mieszczki ormiańskie rękę miały szczodłą. 26 VI 1645 roku Anastasja Awedykowiczowa zapisała folwark zwany Bogdanówką prowizorom kościelnym – jedna część z dochodów szła na msze św. druga dla nauczyciela w szkole ormiańskiej a trzecia na wiano dla ubogich pańienek.

Pochwalił Jan III Sobieski Ormian w przywileju wydanym dla nich 6 VI 1685 r. stwierdzając „pożytek miasta naszego Lwowa i tegoż miasta z konkurencji i osiadania Ormian.”

Do kupieckiej rodziny ormiańskiej należała kamienica „Bernatowiczowska” na rynku lwowskim pod nr 8. Ormianie liczni zresztą przeniknęli po połowie XVII wieku na rynek, których przed tym dawne ograniczenia sytuowały na ul. Ormiańskiej. Oprócz Bernatowiczów mieszkali potem Nikorowicze, Muradowicze, Bohdanowicze, Torosiewiczze, Janowicze.

Nie byłby Lwów w tym czasie malutką „Wspólną Europą” gdyby nie mieszkali w nim Żydzi. W drugiej połowie XIV wieku mieli w mieście już swoją „platea Judaeorum”, w 1387 roku księgi miejskie Lwowa zanotowały ul. Żydowską. Do pięknych kart współżycia nacji lwowskich zapisał się rok 1655. W czasie oblężenia Lwowa 9 października Chmielnicki zarządził wydania lwowskich żydów z dziećmi, żonami i majątkiem od delegacji miasta przybyłej na rokowania. Lwowianie Żydów nie wydali w ręce Kozaków Chmielnickiego i Moskali Buturlina.

W 1582 roku bogaty kupiec Izak Nachmanowicz ufundował we Lwowie synagogę, którą budował włoski architekt Paweł Rzymianin. Synagoga ta związana była legendą o pięknej Róży, żonie Izaka.

Wciśnięta w podwórze kamienicy nr 27 przy ul. Blacharskiej synagoga Złotej Róży nie przeżyła ostatniej wojny, zniszczona przez Niemców.

Rusini we Lwowie mieli swoją ul. Ruską, przy której stoi cerkiew wołoska z piękną renesansową wieżą Korniaktowską. Na rynku lwowskim dopiero w drugiej połowie XVIII w. kamienica nr 40 zwana „Zuchorowiczowska” przeszła na własność OO Bazylianów z cerkwii św. Onufrego.

Rodziny angielskie i szkockie reprezentowali we Lwowie Whigtowie, Allandowie, Forbasowie, węgierskie Boimowie a wśród mieszczan do największych bogactw i świetności doszedł prawosławny Grek rodem z Krety Konstanty Korniakt (nie był Rusinem jak niektórzy mniemają). Na podstawie specjalnego pozwolenia króla Stefana Batorego zbudował w 1580 roku najokazalszą kamienicę na rynku lwowskim. Przedsiębiorczy kupiec, który na handlu winem i dzierżawie cel ruskich dorobił się olbrzymiej fortuny i osiadł na stałe we Lwowie, nie domyślał się nawet, że niespełna sto lat później wspaniałe ją urządzi jako swoją rezydencję we Lwowie najbardziej „lwowski” ze wszystkich królów – Jan III Sobieski. Kamienica królewska – rynek nr 6. Bawiła tu Marysieńka, której wiecznie zakochany król-małżonek w sklepach kupców lwowskich wybrał „futra szlamowego lisiego błam nieszpetyny oraz wilczych ogonów błam na wór dla zagrzania ślicznych nóżek Waszmości serca mego”. Dzisiaj królu Janie ani futer onych ani Rzeczpospolitej na rynku lwowskim byś nie znalazł bo wszystkiemu winna Jałta i Marysieńce marzły by nogi. A mrozy we Lwowie bywały tęgie nawet za II Rzeczpospolitej, bo teraz jak Lwów za granicą jałtańską to i zimy stamtąd się ekspatriowały.

Klimat Lwowa był kontynentalny – „...coś takiego jak styczniowa szaruga było tam poprostu niemożliwe. W roku 1930 chyba przy niebie czystym jak błękitny lodowiec temperatura spadła do minus 36 stopni.” – napisał Stanisław Lem w „Wysokim Zamku” książce wydanej w 1966 roku. Rzuciliśmy się na tę książkę łapczywie. Mamo złota – po tylu latach kneblowania pamięci – książka o Lwowie! Właściwie książka o dzieciństwie i latach szkolnych Lema aż do matury. Introwertyczna postawa pisarza przekazała taki „neutralny” obraz miasta spragnionym go Lwowiakom w PRL-u, po którego ulicach chodził dorastający Lem-gimnazjalista. Oto wspomnienie mego ukochanego „europejskiego” rynku i kilku ulic centrum miasta: Niewątpliwie mijałem pomniki architektury, katedrę ormiańską, kamieniczki rynku, ze słynną czarną kamienicą na czele, lecz nic o tym nie wiem... i szedłem przez Moniuszki, Szopena, plac Smolki, z kamiennym Smolką pośrodku, Jagiellońską, mijając kino „Marysieńka” ku ulicy Legionów. W głębi z lewej strony majaczyła perspektywa teatru, lecz jak latarnia szuka żeglarza, wabił mnie budynek daleko mniej okazały, stojący na rogu placu Ducha – kiosk z wytworami pana Kawurasa”. Chodziło o chałwę którą Lem cholernie lubiał. Wtedy na tej drodze do II gimnazjum im. Karola Szajnochy na ul. Podwale nr 2 (uściślam adres bo nie podałem), ważna była chałwa bo Lem-gimnaz-

jalista nie miał wówczas żadnego olśnienia ani przeczucia, że Lwów można stracić. Napisał o chałwie, którą parę setek lat przed Kawurasem przywiozili do Lwowa kupcy greccy i ormiańscy. Tylko dla czego wtedy w 1966 roku nie dodał Lem do opisu Wysokiego Zamku, gdzie chodził z kolegami, że był tam kamień pamiątkowy od strony Zniesienia na którym był napis: R.P. 1675, dnia 24 sierpnia na polach Lesienic, widocznych z tego wzgórza Jan III Sobieski, król Polski, W. Ks. Litewski etc. z 6000 polskiego rycerstwa rozgromił 40.000 hordę tatarską, idącą na Lwów. Czcąc pamięć bohaterskiego Obrońcy Rada Miasta Lwowa w dwuchsetną rocznicę odsieczy Wiednia, 12 września 1883 położyła ten kamień.

Odpowiadam sama sobie, że ówczesna cenzura by nie puściła tego fragmentu nawet Lemowi.

Smak Lwowa najlepiej się ceni po stracie. Niezwykłość tego miasta, które było od samych swych narodzin miastem wielonarodowym, bo ściągali do niego przybysze ze Wschodu i Zachodu, historyczna odrębność jego losów polegała na tym, że był (i jest w całym swym dziedzictwie duchowym i architektoniczno-urbanistycznym) miastem polskim, które jednocześnie rozwinęło własną kulturę pogranicza, korzystając z swego położenia geograficznego. W związku z tym wzruszam ramionami na uwagę pana redaktora Ernesta Skalskiego (zob. Gazeta Wyborcza z dnia 2-3 X br. s. 13), że Lwów jest dzisiaj miastem ukraińskim a my demonstrujemy swoje fobie. Proponuję by pan redaktor zechciał poznać Lwów z autopsji, ten w granicach do 1939 roku, oczywiście bez koszmarnych blokowisk z czasów sowieckich, i przytoczył dowody, naturalnie wiarygodne, jak na tak poważnego publicystę przystało, że od 1340 do 1939 substancja duchowa i materialna tego miasta jest pochodzenia ukraińskiego. Lwów ma zabytki związane z kulturą ruską, która zakwitła przede wszystkim na obszarze życia religijnego, naprzód prawosławia a potem obrządku grecko katolickiego (dzisiaj nazywanego bizantyjsko-ukraińskim). Dlatego w tym mieście znajduje się tak znakomite dzieło architektury jak renesansowa, prawosławna cerkiew wołoska, dzieło Włocha Pawła Rzymianina. Gospodarze wołoscy fundowali też we Lwowie cerkwie św. Piatnicy, a cerkiew św. Onufrego, której relikty pochodzą jeszcze z czasów książąt ruskich, przebudowana została w XVI wieku kosztem księcia Konstantego Ostrojskiego, Rusina wiernego prawosławiu, opiekuna lwowskiej Stauropigii i wroga unii brzeskiej. We Lwowie przebywał też (wiadomo tolerancja!) wygnaniec z Moskwy Iwan Fiodorow, który wydał tu w 1574 roku ruski druk „Apostoła” w pięknej szacie typograficznej, ale trudno go nazwać Ukraińcem i trudno Moskałem. Gdyby jednak dał się zwać pan redaktor napisom na tablicach umieszczanych teraz na zabytkach architektury to bardzo proszę nie brać za prawdę, że operę lwowską zaprojektował Z. Horholewskyj, ale architekt Zygmunt Gorgolewski Polak. Jeżeli „tą modą” oznaczone zostaną wszystkie zabytki Lwowa – od renesansu po secesję, to oczywiście nie znającym rzeczy ujawni się on jako miasto ukraińskie. Ale to taka dygresja.

Druga książka o Lwowie na którą rzuciliśmy się później, po Lemie, to „Dom pod żelaznym lwem” Witolda Szolginia, wydany pięć lat później po „Wysockim Zamku”. Wtedy we Wrocławiu, w lwowskim światku wielokrotnie słyszałam pytanie „Danka masz już Szolginia?”. Oczywiście, że miałam tę książkę serdeczną, prostą jak prosta jest prawda. Nie wiem kochany Panie Tolku czy przypomina Pan sobie, jak mi Pan później napisał w mojej książce w dedykacji. Do swojej, drukowanej w każdym egzemplarzu, która brzmi: Mieszkańcom Domu — gdziekolwiek są „dodał Pan” a wśród nich p. Danusi Nespiak najprzystojniejszej i najserdeczniejszej Witold Szolginia”. Pisana sercem ta książka — otwartym na ludzi bez względu na narodowość i wyznanie, otwartym na kolegów i profesorów na bramy i zaułki, na drzewa Wałów Gubernatorskich na zapach i barwy miasta. A piękne ono było zwłaszcza w bieli śniegu. Oto rozterki chłopca — Tolka Szolginia przed wyborem trasy dla sanek: „Gdzie właściwie startujemy? Na Ubocz, Mącznej, Wójtowskiej, od dworca do szkoły Zimorowicza?... o tym nędznym zjeździe po kawałku Pijarów między Wąsowicza a Dobrzyńskiego nawet nie ma mowy... Decydujemy się na Wójtowską... Za nami stromizna kudłatego od posiwiałych krzaków zbocza kolejowego nasypu, spod naszych nóg spada długi zaśniewiony stok, przechodzący tam u dołu w lśniąca taśmę Wójtowskiej.” Albo jak Tolek z bratem ucierali mak na kutię i makowniki: „Wypełniająca dużą glinianą makutę mokra ziarnista masa opornie i niechętnie poddaje się grzęznącemu w niej drewnianemu tłucz-kowi, którym na zmianę i razem zaciekle ją atakujemy. Miną długie kwadranse, zanim — zziębnięci jak zgonione psy i z omdlałymi rękami damy jej wreszcie radę ku maminemu zadowoleniu.” Aż przyszedł wrzesień 1939 roku i Witold Szolginia napisał: „Na rogatce odwracam się i patrzę na płowo dymiące za mną miasto. Żegnaj i ty lwie powalony.” Piękna i wzruszająca książka!

Lem i Szolginia byli pierwsi a potem te książki o Lwowie o Kresach posypały się i zebrała się już odrębna literatura lwowsko-kresowa. Są pozycje dobre, średnie ale i mierne, gdzie autorzy nieraz „bujają” i rozmiągają się z prawdą bo nie sprowadzili wiarygodności podanych faktów.

Ale są również książki gdzie temat lwowski lub kresowy stanowi drobny fragment całości, poświęconej zgoła czemu innemu. Z uwagi na nazwisko autora i jego publiczny „image” pozycje te są nieraz hałaśliwie promowane w mass mediach. Więc należy im się przyjrzeć jeżeli zawierają jakieś lwowsko czy wileńsko-kresowy motyw. „Zahaczył” o Lwów Jacek Kuroń w swojej konfesyjnej książce „Wiara i wina. Do i od komunizmu” bo się niestety we Lwowie urodził. Na 371 stron (wydanie londyńskie z 1989 roku) 22 strony poświęcił czasom lwowskim, z tego 1/2 treści odnosi się do lewicowych tradycji jego rodziny, którą to tradycję przekazywano mu niemal od niemowlęctwa. I nawet w tak okrojonej przestrzeni narracji „nabujał” Kuroń sporo. Np. jako 8-latek chciał w czasie okupacji niemieckiej Lwowa zakładać podziemne organizacje i żeby zachęcić swoich kolegów do współ-

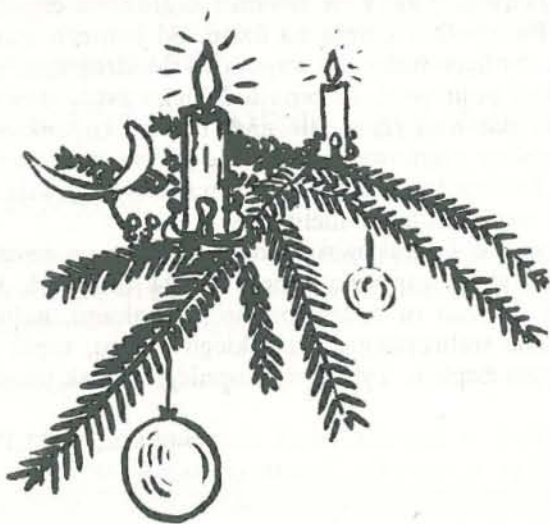
pracy opowiadał im o konspiracyjnej działalności swego ojca, wynosił z domu ulotki a nawet chciał wynieść rewolwer (ojciec Kuronia działał w lwowskim BIP-ie i kontrwywiadzie AK). Ale jeżeli rzecz tak się miała to przed kompletną wyspą ojca i jego towarzyszy uchroniła ich chyba Opatrzność Boża skoro 8-latek rozpowiadał o tatusia konspiracji w Ak. Drugie „bujanie” dotyczy tego, że 2-letni Jacek zapamiętał dobrze pogrzeb zabitego w czasie lwowskich strajków w 1936 roku bezrobotnego W. Kozaka, nawet gdyby prawdę było to, że jak wspomniał z autoironią „Rodzice wymyślili, że jestem strasznie inteligentny” (został wysłany od razu do III klasy). Są tam jeszcze inne trochę nieprawdopodobne przygody małego Lwówianina. Natomiast zastanawia ignorancja Kuronia w sprawie lokalizacji strasznego obozu dla Żydów, który beztrząsł w Janowie. Skoro tak głęboko przeżywał ich tragedię (w to nie wątpię) powinien był wiedzieć gdzie ten obóz znajdował się we Lwowie. Wykazał też podstawowy brak wiedzy na temat osoby prof. Rudolfa Weigla pisząc bzdury, że mu na jakiś czas darowano życie i że był Żydem. Nie panie pośle — Weigl był z pochodzenia morawskim Niemcem, z wyboru Polakiem, światowej sławy badaczem duru plamistego, członkiem PAU, od 1920-1939 roku profesorem na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza a po wojnie Uniwersytetu Jagiellońskiego i dyrektorem Instytutu Przeciwtfusowego w Krakowie i odegrał ogromną rolę dając pracę, ratując i ukrywając polską inteligencję w swoim instytucie we Lwowie, w czasie brunatnej okupacji hitlerowskiej.

A jak interpretować takie stwierdzenie Kuronia: „I wreszcie wkroczyli Niemcy. Lwów oszalał ze szczęścia”. Cóż za zaskakująca — jak na polityka, egzaltacja. Lwów nie oszalał ze szczęścia, choć byli tacy co się cieszyli i wiemy kto to był. Lwów był zmęczony straszną sowiecką okupacją więc nawet nadejście Niemców oznaczało jakąś zmianę. I to było wszystko, nie było mowy o szczęściu. Ale takie słowa pofrunęły w świat, przecząc rzeczywistości.

Jest jeszcze w lwowskich wspomnieniach Kuronia pewien charakterystyczny szczegół: „Ja wyrosłem w kulcie Orląt, wyśpiewywałem »Bronią Lwowa polskie dzieci, znosząc razy, śmierć i ból« ale fascynowała mnie inność, obcość. Kiedy przechodziłem koło szkoły ukraińskiej coś mnie do niej ciągnęło”.

No cóż — skoro już wtedy miał Jacek Kuroń takie skłonności, to nie miejmy do niego żalu za to co powiedział tamtego roku we Lwowie. Ale chcę też mieć nadzieję, że gdyby Kuroń przechodził teraz we Lwowie koło polskiej szkoły (są dwie) też by go coś do niej ciągnęło. A gdyby jeszcze powodem tego były wyrzuty sumienia za ten Lwów no to byłabym szczęśliwa.

Wierzę jego słowom skoro napisał, że wyrósł w kulcie Orląt (tata był patriotą). Wobec tego z pod lwowskiego drzewka kieruję w imieniu Lwowiaków życzenie by zechciał to udowodnić. Inaczej będzie to następne „bujanie”.



Pamiętanie, ale jakie...

JERZY MASIOR

Pierwsza zima

Gdy pora roku stawiała się śnieżna — miasto spowolniało swój rytm, pejzaż pod Wysokim Zamkiem otulał się w puszystość, ostrożniej przemykały tramwaje, a ludziom jakby przestawało się spieszyć. Pierwsze dzwonki konnych sanek witały moje lwowskie zimy w okolicy placu Antoniego. Parskający i dymiący końskimi oddechami rząd saneczek oczekiwał tu na ludek tramwajowy, na chorych i zdrowych opuszczający miasteczko szpitalne przy Pijarów, a także na wszystkich, którym pierwszy zmrożony śnieg pomylił jednokonkę lwowską z „hajże-trojką”. Byle w zimę, byle szybciej, byle gdzieś za Łyczakowską rogatkę, lub zamiejskim traktem Zielonej.

W mieście nie brakowało do dziś zapamiętanych stromizn, z których nabierały szybkości saneczki, narty i to wszystko czemu zmrożone zbocza nadawały śmigłości. Miałem w zasięgu kilka wzgórz i ulic pochyłonych, ale z pierwszej zimy powrześniowej tą najbardziej zapamiętaną pozostał odcinek ulicy Czarnieckiego od Teatyńskiej w pobliżu Baszty Prochowej. Czas na saneczkowe ślizgi stał się jakby szczególny: była to zima pierwszego sowieckiego zmrożenia, zegar historii począł dramatycznie wybijać niewolne godziny, nasze bytowanie fiknęło większego kozła niż nasza największa wówczas wyobraźnia. Biel śniegu pozostała jednakże owej zimy nadal lwowska: skrzące przestrzenie Kajzerwaldu, Łyczakowskiego i Pohulanki, nieprzetarta jeszcze poranna Kurkowa. Chodziłem nią do byłego już wówczas gimnazjum SS. Nazaretanek, bo tam pozostawiono język polski. Moja II buda, mój Szajnocha stał się — o ironio — ukraińską szkołą.

Wspomniany odcinek ulicy, swą spadzistością nadający pęd saneczkom, był otulony Podwalem, jego

starodrzewiem i gazowymi latarniami, które rozświetlały zimowe wieczory tym jaśniej, im tęższy był mróz. Ten przydawał szybkości saneczkom. Ślizgi uprawialiśmy solowe i gromadne. Dzieciaków i młodzieży spora tam ścigała gromada. Cóż, okazja do pozaszkolnych spotkań, nawiązywania znajomości, do ciepłutkich słów i saneczkowych (z konieczności) przytuleń na trzaskającym mrozie wieczoru, w mozaikowym wymieszaniu cieni i latarniowego, śnieżystego blasku. Nad nami unosił się jazgot głosów, szuranie sanek, ale te wszystkie dźwięki z trudem przebijały się przez zalegającą wokół ciszę. Była to pierwsza zima okupacyjna: doskwierał niedostatek wszystkiego. Pierwsza wówczas wilia stała się wyłącznie przypomnieniem tego, co zaledwie przed paroma miesiącami było nasze, dotykane, niezbywalne... Okazało się, że można utracić tak wiele i bez uprzedzenia — nagle. Byliśmy pokoleniem gimnazjalnym o głęboko zakorzenionym patriotyzmie, młodzieżą już refleksyjną, wartościującą, ale też bardziej ufna niż nasi ojcowie, w to, że ten cały, przewracany nam świat rychło powróci do dawnych porządków. Pierwsze listy z Kachstanu ukazywały nam nieznane dotychczas realia. Czegoś już uczyły. Poczuliśmy dojrzewać szybciej. Od tych realiów, od tęsknoty, od wykreślenia w naszym młodym życiu wszystkiego co staje się niemożliwe. Niewiele wiedzieliśmy o przestrzeniach na wschodzie, które wchłaniały naszych najbliższych. Ale widok sowieckiego, wystrzępionego szynelu, nieodłącznej sumki i żołnierskiego kociołka budził w nas przecucia, które sprawdzały się z miesiąca na miesiąc coraz wiarygodniej. Ci z saneczek byli już tam, w śnieżnych przestrzeniach, gdzie wspomnienie spadzistej ulicy Czarnieckiego mogło przyprawiać o ból serca. Wiało tam wilczą tęsknotą, trzeba było grzać się ciepłem kiziaków, a głód przeobrażał obierzyny kartoflane w największy przysmak, ba, w sytość, która pozwalała zasnąć.

My byliśmy jeszcze we Lwowie, w jako tako ogrzanych domach. Otulały nas wigilia i Święta w tym samym co dotychczas miejscu. To już zaczynało się liczyć! Byliśmy nadal w szkołach, w klasach, w których można się było zanurzyć jak w puchu przetrwania. Czas Bożego Narodzenia miał rozkołdowany, tylko może nieco żarliwszy niż dotychczas, obrócony jak najbliżej do Stajenki i Nowiny. A tej już bardzo wtedy zaczęliśmy pragnąć. Tej pierwszej sowieckiej zimy Lwów trwał przy swojej tradycji, wśród swojego zimowego, jakże ubożego bytowania. Tylko łamanie opłatka było bardziej skupione, a wypowiedziane słowa miały się łagodności i groźby... Dla nas młodych jawa we Lwowie, wtedy, jakże często ulatywała w sny. Przestrzeń miasta stawiała się zagęszczona, nieprzezroczysta. Biorę poprawkę na perspektywę lat, ale któż zaprzeczy, że krystiana na stokach Kajzerwaldu tej zimy wychodziła jeszcze śmiała, puszysto-zwijasta, ale ślizgi na lodowisku Pełczyńskiej, czy Żelaznej Wody nie były już najszybsze, najprecyzyjniejsze. Tylko oczy dziewcząt okutanych w swetry, szale i inne ciepłości, promieniowały wszystkiemu naprzeciw — blaskiem przychylności... Lwów szukał swojej utraconej normalności, sposobu na życie, na przetrwanie. Skąpani w młodości nie po-

strzegaliśmy wtedy zbyt wyraźnie zatroskanego oblicza dorosłych. Nasze małe radości, życie chwilą, ufność w ład powracającego świata, były wtedy nie do poskromienia. Mieliśmy jeszcze wówczas własne okopy – schrony przeciwko wszystkiemu, czego nie akceptowaliśmy. Nie wiedzieliśmy, o naiwni i niedoświadczeni, że to, co najgorsze jeszcze przed nami, że pandemia faszyzmu różnych odcieni spowoduje wygaszenie blasku latarni, szarość śniegu, nieprzystępność naszych przestrzeni, ba, nawet lęk myśli. Nie wiedzieliśmy tej zimy, że świat przeokoziłkuje, ale tak, aby nigdy nie stanąć w tej samej pozycji. Nasze przestrzenie pod Kopcem, w Łyczakowskim i te małe z placu Antoniego, na Podwalu, na Kurkowej, Leśnej zmaleją, skurczą się, znikną ich barwy i wszystko to, w czym tak dobrze było się zanurzać.

Ufność poczęliśmy wymieniać na zwątpienie. Jasność lwowskiej zimy na zewsząd zagrożenie ciemnością. Powolutku, z dnia na dzień, od jednego transportu bydłeco-ludzkich wagonów do drugiego, zaczęliśmy pojmować, że cena ludzkiego życia stawała się dla nas najwyższą, dla nich nijaką, kopiejkową. Poczęliśmy pojmować i stosować już własną weryfikację historii, która zza horyzontu młodości jawiła się teraz nieobliczalna i nielitościwa.

W parku Łyczakowskim do dziś są moje ścieżki. Śnieg wybieli zapewne zimę 1993/94 roku tak jak wtedy. Można tu będzie przyjść z sankami, nabrać w dłonie srebrzystego, lwowskiego śniegu, topić go własnym ciepłem. Tylko czy stopnieje tak jak wtedy?

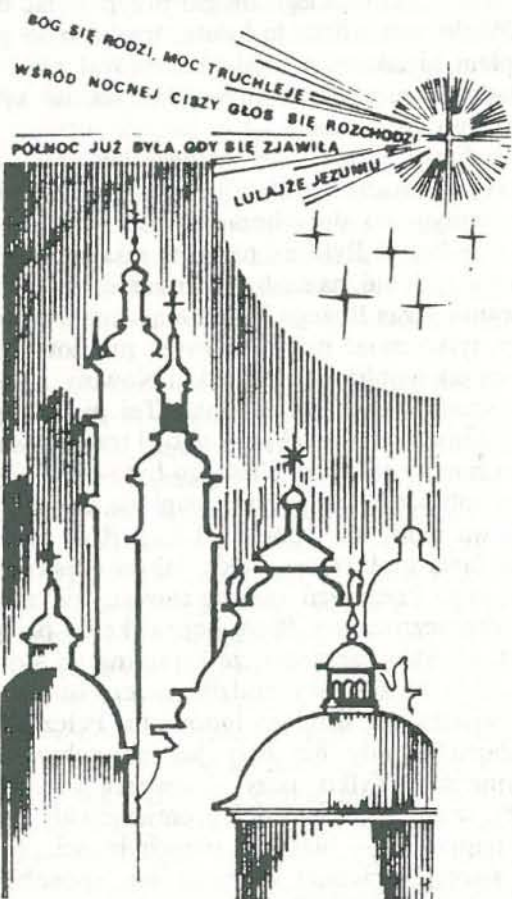
Nowy Sącz, 10 XI 1993

WITOLD SZOLGINIA

Gdy nadchodu Świenta...

*...Siedzimy sy w chawirzy, du budy ni chodzim,
By zimowy ferii zaczęli si wczoraj.
Ni mogim powiedzieć, ży si tera nudzym,
Ni puzwala na tu przydświunteczna pora.*

*W kuchni si udbywa ugromny pieczeni
Na stół wigilijny różnych fajnych rzeczy:
Na gutowych buchtach skórka si rumnieni,
A wielgi makownik w bratruży si pieczy.*



*Mamcia na stulnicy ciastu znów wałkuji,
A ja — jajka z cukrym furt krencym w makutrzy;
Słodki miszaniny cichym podlizujim,
Zichir jij zabrakni, nim si całkim utrzym...*

*Woń guździków z mniodym wszychwadni panuji,
Nu by piernik fajny Mamcia piec tyż bedzi;
I wanilii tagży słodki zapach czujim,
A zy słoja pachniu smakuwici śledzi,*

*Co w ocyt wadzony z cybulku i pieprzym,
Bedu du sfrygania w pości przydświuntecznym;
Dziś nizakunieczny — jutru bedu lepszy,
Już tera mam na nich uchoty syrdeczny...*

*W szafliku dwa karpi w wodzi podskakuju,
Rucam troszku bulki — nie chcu frygać wcali;
Że my ich sfrygamy — pewni już to czuju,
Co stani si wtedy, kiedy już zapalim*

*Świczki na drzewku cudni przystrojonym
Które na ty chwili w kurytarzu czeka.
Du tych cudni wonnych galonzyk zilonych
Wciongli z ciepłyj kuchni ukradkim uciekam...*

*W zielonym drzeweczku w pirnikowym mniodzi
Przydziwnegu czaru siła je zaklenta:
W ubłoku ich woni Wigilia nadchodzi,
A za niu — cudowny, najśliczniejszy Świenta...*

HISTORIA

ZBYSŁAW POPLAWSKI

Gimnazja na odłączonych ziemiach Małopolski Wschodniej (dokończenie)

BORSZCZÓW

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne, typu humanistycznego, własność Towarzystwa Szkoły Średniej, założone w 1909 roku.

BORYSŁAW

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne w Tustanowicach, typu humanistycznego, założone w 1918 roku.

BRODY

Państwowe Gimnazjum Męskie im. Józefa Korzeniowskiego, przy Wałach Gimnazjalnych, typu staroklasycznego, założone w 1853 (1865) roku.

BRZEŻANY

Państwowe Gimnazjum Męskie im. Edwarda Rydza Śmigłego, typu mieszanego tj. staroklasycznego i humanistycznego, założone w 1776 (1806) roku. Po II wojnie dyrektorami byli: Köstlich i Wawrzyniec Mazur.

Państwowe Gimnazjum Męskie z ruskim językiem nauczania, typu klasycznego, założone w 1907 roku.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie (dalszych danych brak)

BUCZACZ

Państwowe Gimnazjum Męskie, typu mieszanego tj. staroklasycznego i humanistycznego, założone w 1754 (1893) roku.

CHODORÓW

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne im. Artura Grottgera przy ul. 3 Maja, typu humanistycznego z pełnymi prawami publicznymi od 1936 roku, założone ok. 1923 r.; dyrektorem był mgr Jan Jaszowski.

CHYRÓW

Prywatne Gimnazjum Męskie z internatem w Bękowicach pod Chyrowem typu staroklasycznego z pełnymi prawami publicznymi. Własność Zgromadzenia Ojców Jezuitów, założone w 1886 roku.

CZORTKÓW

Państwowe Gimnazjum Męskie im. Juliusza Słowackiego, typu mieszanego tj. humanistycznego i matematyczno-przyrodniczego, założone w 1907 roku; dyrektorem był Stanisław Maruszewski.

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne im. Markia-

na Szaszkiewicza, z ruskim językiem nauczania, typu klasycznego, założone w 1911 roku; własność Ukraińskiego Towarzystwa Pedagogicznego. Dyrektorem był Mikołaj Babyn.

DOBROMIL

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne im. Zygmunta Krasińskiego, typu mieszanego tj. staroklasycznego i matematyczno-przyrodniczego, własność Towarzystwa Szkoły Średniej, założone w 1922 roku. Dyrektorami byli: Roman Gładyszewski, N. Krystanowski, A. Ruczkala, S. Macibowicz.

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne z ruskim językiem nauczania im. Markiana Szaszkiewicza, typu humanistycznego, założone w 1912 roku. Dyrektorem był N. Hrycyszyn.

DROHOBYCZ

Państwowe Gimnazjum Męskie im. Króla Władysława Jagiełły, typu mieszanego tj. humanistycznego i matematyczno-przyrodniczego, przy ul. Sienkiewicza, założone w 1852 (1858) roku. Dyrektorami byli: Józef Staromiejski (1904-1917), Jan Matlachowski (od 1917-do ?), Tadeusz Leon Kaniowski. Wydawano coroczne sprawozdania.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie im. Adama Mickiewicza, typu humanistycznego, założone w 1912 roku.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie im. Henryka Sienkiewicza, typu nowohumanistycznego, założone w 1919 roku; dyrektorem był Zygmunt Gerstmann.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie Koedukacyjne im. Sternbacha.

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne z ruskim językiem nauczania, założone w latach 30-tych.

GRÓDEK JAGIELLOŃSKI

Państwowe Gimnazjum Męskie, typu mieszanego tj. klasycznego i matematyczno-przyrodniczego, założone w 1909 roku.

HORODENKA

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne, założone przed I wojną. Dyrektorami byli: N. Białurus, M. Spólnicki, N. Topolski, J. Chociej, N. Piskozub.

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne „Ridnej Szkoły”; brak danych.

JAWORÓW

Państwowe Gimnazjum Męskie, typu humanisty-

cznego, przy ul. Lwowskiej, założone w 1916 r. jako prywatne.

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne z ruskim językiem nauczania, typu klasycznego; własność Ukraińskiego Towarzystwa Pedagogicznego.

KAŁUSZ

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne, typu matematyczno-przyrodniczego, własność magistratu miasta Kałusza; powstało z końcem XIX wieku, istniało do 1914 roku. Dyrektorem był N. Piotrowicz.

KAMIONKA STRUMIŁOWA

Państwowe Gimnazjum Męskie im. Kornela Ujejskiego, typu humanistycznego, założone w 1909 roku; w roku 1928 wydano drukiem sprawozdanie.

KOŁOMYJA

Państwowe Gimnazjum Męskie im. Króla Kazimierza Jagiellończyka, przy ul. Mickiewicza 36, założone w 1862 r. jako typu klasycznego; po I wojnie przekształcone na humanistyczne. Wydawano drukiem sprawozdania.

Państwowe Gimnazjum Męskie z ruskim językiem nauczania, przy ul. Mickiewicza 36, typu staroklasycznego, założone w 1892 roku.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie typu humanistycznego, własność Zgromadzenia Sióstr Urszulanek, założone w 1899 roku.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie z ruskim językiem nauczania, typu klasycznego, własność Ukraińskiego Towarzystwa Pedagogicznego.

Oba męskie gimnazja — polskie i ruskie — mieściły się w tym samym budynku i jak nakazywały warunki, na przełomie wieków współżyły ze sobą zgodnie i po sąsiedzku; nie było tej nienawiści jaką wytworzyły podżegania austriackiego zaborcy i krwawa walka lat 1918-1920; przeciwnie, istniała współpraca. Na wieczorku mickiewiczowskim chór uczniów gimnazjum rusińskiego uświetniał udanymi występami uroczystości polskie i odwrotnie, na wieczorku szewczenkowski występowała orkiestra gimnazjum polskiego.

KOSÓW

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne, założone w 1921 roku; dyrektorem był N. Mazurkiewicz.

PRZEMYŚLAŃ

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne im. Królowej Jadwigi, typu humanistycznego. Własność magistratu miasta; zakład założono w 1921 r.

RAWA RUSKA

Państwowe Gimnazjum Męskie, typu mieszanego tj. humanistycznego i matematyczno-przyrodniczego,

założone w 1909 roku. Po I wojnie dyrektorem był Józef Schabowski.

RADZIECHÓW

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne im. Marszałka Badeniego, mieściło się w skrzydle pałacu Badenich. Dyrektorem był N. Andrzejewski.

ROHATYN

Państwowe Gimnazjum Męskie im. Księdza Piotra Skargi, typu mieszanego tj. staroklasycznego i humanistycznego, założone w 1909 roku. Dyrektorami byli: Gajewski (1909-1921), dr Józef Labert, N. Adamski.

Prywatne Gimnazjum Męskie z ruskim językiem nauczania, typu klasycznego, założone w 1921 (1909) roku przez Ukraińskie Towarzystwo Pedagogiczne. Dyrektorami byli: Michał Hużyk, N. Baczyński, A. Kruszelnickij.

SAMBOR

Państwowe I Gimnazjum Męskie im. Adama Mickiewicza przy ul. Kołłątaja 10, typu staroklasycznego, założone w 1680 roku. W latach 1904-1925 dyrektorem był Józef Szafran. Wydawano drukowane sprawozdania.

Prywatne II Gimnazjum Męskie im. Mikołaja Kopernika, typu matematyczno-przyrodniczego, założone w 1911 r.; dyrektorem był Marian Dobrzański.

Państwowe Gimnazjum Żeńskie im. Marii Konopnickiej, typu mieszanego tj. humanistycznego i matematyczno-przyrodniczego, założone w 1911 roku. Dyrektorem był Zenon Eckhardt.

SOKAL

Państwowe Gimnazjum Męskie im. Tadeusza Kościuszki, typu mieszanego tj. nowoklasycznego i matematyczno-przyrodniczego, założone w 1907 roku. Dyrektorem po I wojnie był Henryk Kopja.

STANISŁAWÓW

Państwowe I Gimnazjum Męskie im. Mieczysława Romanowskiego, przy ul. Kazimierzowskiej 31, typu staroklasycznego, założone na bazie istniejącej od 1669 roku kolonii Uniwersytetu Krakowskiego. W roku 1720 Ojcowie Jezuici dokonali reorganizacji na kolegium swego typu. Od roku 1785 szkoła została przejęta przez władze austriackie i wtedy wprowadzono język niemiecki jako język nauczania; od 1865 roku (autonomia) wprowadzono z powrotem język polski. Dyrektorem po I wojnie był Michał Jazienicki, następnie Franciszek Jun, zamordowany w 1941 r. przez Niemców. Do 1933 roku używano czapek-rogatynek koloru grantowego z fioletowym otokiem.

Państwowe II Gimnazjum Męskie, przy ul. Paderewskiego, typu nowohumanistycznego, założone w 1903 roku. Dyrektorami byli: dr Celestyn Lachowski

(1907-1925), N. Cebula, Stanisław Labuda, Stanisław Umański zamordowany w 1941 r. przez Niemców. Młodzież używała czapki-rogiatki granatowej i otokiem bordowym.

Państwowe III Gimnazjum Męskie przy ul. Sapieżyńskiej 17, typu matematyczno-przyrodniczego, założone w 1874 roku. Dyrektorami byli: Julian Latkowski, Władysław Piskozub, Antoni Piskozub – zamordowany w 1941 roku przez Niemców. Czapki granatowe rogiatki z zielonym otokiem.

Państwowe Gimnazjum Męskie z ruskim językiem nauczania, przy ul. Lipowej 46, typu klasycznego, założone w 1905 roku. Po I wojnie był dyrektorem Ignacy Pawluch. Młodzież używała czapek „mazepinek” z denkiem niebieskim i otokiem czarnym.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie Sióstr Urszulanek, przy ul. Kamieńskiego typu klasycznego, założone w 1908 roku. Własność Zgromadzenia Sióstr Urszulanek; prowadzono własny internat dla dziewcząt z prowincji. Po I wojnie dyrektorem był Franciszek Orzechowski, Tadeusz Nowogrodzki. Przełożonymi były: Stanisława Połoczyńska, Stanisława Włodzińska.

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne z niemieckim językiem nauczania przy ul. Kilińskiego, typu humanistycznego, założone w 1919 roku.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie z ruskim językiem nauczania, typu humanistycznego, założone w 1920 roku przez Ukraińskie Towarzystwo Pedagogiczne. Po I wojnie dyrektorem był Nicefor Danysz.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie im. Elizy Orzeszkowej z polskim językiem nauczania; bliższych danych brak.

STRYJ

Państwowe I Gimnazjum Męskie im. Józefa Piłsudskiego przy Placu Piłsudskiego, typu klasycznego, założone w 1874 (1885) roku. Dyrektorami byli: dr Karol Petelenz, Tadeusz Wasilewski (ojciec Stanisława, znanego literata), Franciszek Tralka, Aleksander Frączkiewicz, N. Hreczkowski, od 1938 r. N. Pawlik, deportowany do ZSRR, tam zmarł.

Państwowe II Gimnazjum Męskie im. Ignacego Mościckiego przy ul. Kraszewskiego, typu matematyczno-przyrodniczego, założone w 1908 roku. Dyrektorami byli: Jan Lebiecki, Wilhelm Kuczera, dr N. Grabski, Juliusz Adamski.

Państwowe Gimnazjum Męskie z ruskim językiem nauczania, typu klasycznego, założone w latach 20-tych; dyrektorami byli: M. Hrycaj, N. Lebiszczak.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie im. Królowej Jadwigi („Lux”) przy ul. Legionów 11, typu humanistycznego, założone w 1907 roku. Dyrektorami byli: Andrzej Grasela, S. Szediwy, ?

Prywatne Gimnazjum Żeńskie Zgromadzenia Najświętszej Rodziny z Nazaretu, typu humanistycznego, założone w 1913 roku; po I wojnie dyrektorem był Adam Patryn.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie przy ul. Smolki 7,

typu humanistycznego, założone w 1933 roku, własność Związku Rodzicielskiego. Dyrektorem był Hieronim Czelny, przełożoną Kazimiera Szczudłowska.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie z ruskim językiem nauczania, typu klasycznego, własność „Ridnej Szkoły”.

Prywatne Gimnazjum Męskie z ruskim językiem nauczania, typu klasycznego, założone w 1907 roku przez „Ridną Szkołę”; w roku 1938 już nie istniało, gdyż działało gimnazjum państwowe z ruskim językiem oparte na budżecie państwowym.

ŚNIATYŃ

Państwowe Gimnazjum Męskie im. F. Karpińskiego, typu mieszanego tj. humanistycznego i matematyczno-przyrodniczego, założone w 1903 roku. Dyrektorami byli: A. Stahl, Antoni Piskozub, ks. Michał Borowy.

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne, własność gminy żydowskiej.

TARNOPOL

Państwowe I Gimnazjum Męskie im. Wincentego Pola, przy ul. 3 Maja, typu staroklasycznego, założone w 1820 roku. Po I wojnie dyrektorami byli: Franciszek Vogel, Dominik Pytel. Wydawano drukowane sprawozdania.

Państwowe II Gimnazjum Męskie przy ul. Konarskiego 2, typu nowoklasycznego, założone w 1906 roku; dyrektorami byli: dr Włodzimierz Lenkiewicz (1911-1930), dr Adam Halpern (1934-1939).

Państwowe III Gimnazjum Męskie im. Mikołaja Kopernika przy ul. Kopernika 14, typu matematyczno-przyrodniczego, założone w 1858 roku. Po I wojnie dyrektorem był Józef Trojnar; ostatnim: N. Leszczyński.

Państwowe Gimnazjum Męskie z ruskim językiem nauczania, przy ul. Kościńskiej 9, typu klasycznego, założone w 1898 roku. Po I wojnie dyrektorem był Julian Lewickij. W roku 1930 gimnazjum zostało rozwiązane po odkryciu rozwiniętej konspiracji Ukraińskiej Organizacji Wojskowej i składu broni palnej na terenie szkoły.

Prywatne Gimnazjum Męskie z ruskim językiem nauczania przy ul. Kaczały, typu klasycznego, utworzone w 1931 r. po rozwiązaniu gimnazjum państwowego z ruskim językiem nauczania.

Państwowe Gimnazjum Żeńskie przy ul. Kościuszki, typu humanistycznego, założone w 1933 roku. Dyrektorem był N. Prohaska.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie, typu matematyczno-przyrodniczego, założone w 1908 roku przez właściciela i zarazem dyrektora dr Włodzimierza Lenkiewicza. Działało do 1932 roku.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie Towarzystwa Szkoły Ludowej przy ul. Kaczały, typu matematyczno-przyrodniczego, założone ok. 1932 roku. Dyrektorką była dr Zofia Turecka. Równolegle przy tym zakładzie działało żeńskie seminarium nauczycielskie.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie z ruskim językiem nauczania przy ul. Kościuszki, typu klasycznego, założone w 1921 roku przez Ukraińskie Towarzystwo Pedagogiczne. Uległo ono w 1931 roku rozwiązaniu po wykryciu konspiracji antypaństwowej.

TŁUMACZ

Państwowe Gimnazjum Męskie typu nowoklasycznego, założone w 1910 roku. Dyrektorami byli: N. Grzegorzewicz, H. Orliński, S. Mendrala, N. Bułkowski, Henryk Krzyżanowski, M. Mierziński.

TREMBOWLA

Państwowe Gimnazjum Męskie typu mieszanego tj. humanistycznego i matematyczno-przyrodniczego, założone w 1907 roku. Po I wojnie dyrektorami byli: ks. Walenty Puchała, Wawrzyniec Mazur.

ZBARAŻ

Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne im. Henryka Sienkiewicza, typu matematyczno-przyrodniczego, założone ok. 1910 roku jako własność gimny. Po I wojnie dyrektorami byli: Stanisław Krysowski, Wawrzyniec Mazur.

ZŁOCZÓW

Państwowe Gimnazjum Męskie im. Króla Jana III

Sobieskiego, typu mieszanego tj. humanistycznego i matematyczno-przyrodniczego, założone w 1873 roku. Mieściło się przy Placu 3 Maja. Dyrektorami byli: Seweryn Płachetko (1874-1880), Teofil Malinowski (1880-1892), Przemysław Niementowski (1892-1903), Emil Lityński (1903), Tomasz Garlicki (1904-1914), Władysław Kryczyński (1915-1929), Stanisław Szediwy (1929-1930), Jan Byra (1931-1932), zginął w Katyniu; Tadeusz Woytoń (1932-1935), Edward Gibczyński (1935-1936), Jan Chociey (1936-1939). Wykaz ten opiera się na monografii: Maria Szyska, Adolf Drobenko, Władysław Gniwew-Węgrzyn: Księga Pamiątkowa Gimnazjum Złoczowskiego z lat 1873-1939; druk prywatny, Kraków, 1993.

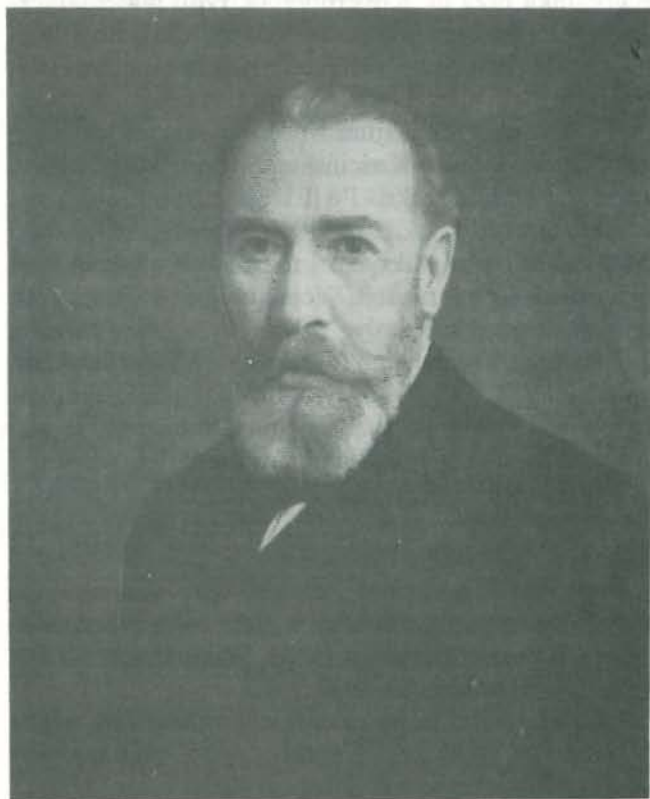
Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne z ruskim językiem nauczania przy ul. Daniłowiczów, typu staroklasycznego, własność Ukraińskiego Towarzystwa Pedagogicznego, założone po I wojnie.

ŻÓŁKIEW

Państwowe Gimnazjum Męskie im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego przy ul. Lwowskiej, typu humanistycznego, założone w 1908 roku. Po I wojnie dyrektorem był Stanisław Czerski.

Prywatne Gimnazjum Żeńskie, typu humanistycznego z pełnymi prawami założone po I wojnie, istniało do 1939 roku.

Historia firmy „Edmund Riedl” we Lwowie



Edmund Franciszek Riedl

*Pamięci naszych Rodziców
artykuł ten poświęcamy
— S. i E. Riedlowie*

Dziadek nasz Edmund Riedl (1854-1916) współzałożyciel Konfederacji Narodu Polskiego, członek Rady Miejskiej miasta Lwowa, poseł na Sejm Krajowy, gorący patriota, założył w 1880 r. firmę handlową z artykułami kolonialnymi i nasionami. Bliższe dane dotyczące Edmunda Riedla są zamieszczone w „Polskim Słowniku Biograficznym” wydanym przez PAN tom XXXI 2 zeszyt 129, w książce pt. „Cmentarz Łyczakowski” we Lwowie S. Niciei (na str. 364) wydanej przez Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich 1988 r. oraz na str. 341 w wyd. „Polska Szkoła Wojskowa w Genui i Cuneo 1861-1862.

W 1905 r. firma obchodziła uroczystość 25-lecia, uświetniona okolicznościowym adresem w wspaniałej oprawie, będącej prawdziwym arcydziełem sztuki rzemieślniczej. Adres ten był podpisany przez 98 znakomitych obywateli miasta Lwowa z Prezydentem Michałem Michalskim na czele.

Firma „Edmund Riedl” mieściła się początkowo przy pl. Mariackim nr 10 we Lwowie w realności p. Katarzyny Wieczyńskiej, a w 1899 r. przeniosła się do własnej siedziby przy ul. Teatralnej nr 3, noszącej później nazwę ul. Rutkowskiego. Na miejscu tym był poprzednio dom Domiceli i Marcina Müllerów, wybudowany w XVII w. Budynek ten został wyburzony, a na jego miejsce wg. planu radcy budowlanego p. Zygmunta Kędzierskiego i pod jego kierownictwem rozpoczęto na zlecenie naszego Dziadka budowę nowego domu. O fakcie tym tak pisze w akcie erekcyjnym nasz Dziadek: „W Imię Boże! Działo się w król. stoł. mieście Lwowie w sobotę 30-go września roku Pańskiego tysiąc osiemsetnego dziewięćdziesiątego dziewiątego, kiedy na stolicy Apostolskiej zasiadał Jego Świętobliwość Papież Leon XIII, a panował rok pięćdziesiąty pierwszy Najjaśniejszy Cesarz Austrii i Król Galicyi Franciszek Józef: rządy kraju spoczywały w ręku ces. król. Namiestnika Jego Ekscel. Leona hr. Pinińskiego: Marszałkiem kraju był Jego Ekscel. Stanisław hr. Badenii, na stolicy arcybiskupów lwowskich obrządku rzymsko-katolickiego zasiadał Jego Ekscel. arcybiskup metropolita ks. Seweryn Morawski, arcybiskupem metropolitą obrządku ormiańsko-katolickiego był Jego Ekscelencja ks. Issak Mikołaj Issakowicz, a rządy miasta sprawowali Jaśnie Wielmożni: Prezydent dr Godzimir Małachowski adwokat i wiceprezydent Michał Michalski — kowal.

Ja Edmund Franciszek dw. im. Riedl, syn mieszczanina lwowskiego ś.p. Józefa i Anny z Breymayerów, urodzony we Lwowie r. 1854, kupiec, mieszczanin i delegat Rady Miejskiej, dorobiwszy się przy pomocy Bożej własną żmudną pracą i zapobiegliwością małżonki mojej Kazimierzy z Wolińskich, skromnego majątku, nabyłem w r. 1899 od Marcina i Domiceli Müllerów dom trzypiętrowy istniejący od początku XVII wieku w tem tutaj miejscu tj. przy ul. Teatralnej pod liczbą orientacyjną 3, a konskrypcyjną 27 za cenę 56 tysięcy zł. Pragnąc zaś przede wszystkim, aby mój handel herbaty i wina znajdujący się od r. 1880 w domu pani Katarzyny Wieczyńskiej, mieszczanki lwowskiej przy placu Mariackim liczba 10, miał własne odpowiednie umieszczenie, dom ów nabyty zburzyłem i na miejscu jego rozpocząłem budowę domu mieszkanego według planu radcy bud. pana Zygmunta Kędzierskiego i pod jego kierownictwem. Składając w podwalinach przyszłej mej siedziby ten akt na wieczną rzeczy pamiętkę, proszę gorąco Boga, aby opieką swą otaczał to miejsce i potomków moich, którzy aby religijnością i uczciwością, pracą i rozumem byli po wsze czasy pożytecznymi członkami naszego społeczeństwa i pełniąc godnie swe obowiązki kochali szczerze to miasto — pomni zaś dawnej sławy mieszczaństwa lwowskiego aby w uczciwym handlu i przemyśle widzieli zawsze główną dźwignię dobrobytu tak własnego jako też kraju i jego stolicy, jako główny warunek odrodzenia politycznego.”

Poświęcenia tego kamienia węgielnego dokonał ksiądz dr Zygmunt Lenkiewicz, kanonik lwowskiej kapituły obrządku rzym.-kat. W nowym 3 piętrowym budynku oprócz wygodnych obszernych 6 pokojowych lokali mieszkalnych na każdym piętrze, przeznaczonych dla rodziny, były na parterze 2 duże lokale sklepowe z magazynami. W oficynie w odrębnej dobudówce znajdowała się palarnia kawy (dwa duże piece do palenia kawy, wyposażone w obrotowe sita oraz 4 duże młynki do mielenia kawy) i inne pomieszczenia gospodarcze. W ogromnych piwnicach tego domu leżakowały beczki z winem. Z upływem czasu nastąpił rozwój firmy. Oprócz artykułów kolonialnych, win, porcelany japońskiej i chińskiej, specjalnej do picia herbaty, firma zajęła się również sprzedażą nasion i narzędzi ogrodniczych.

Po nagłej śmierci w 1916 r. Edmunda Riedla założyciela firmy — prowadzenie jej przejęli synowie Edmund i Kazimierz, trzeci syn Tadeusz przystąpił do spółki znacznie później wnosząc, jako swój wkład pół folwarku Hołosko Wielkie pod Lwowem, który oddziedziczyli po Ojcu po połowie, a to córka Jadwiga z Riedlów Janowska i syn Tadeusz Riedl. W okresie międzywojennym (tj. 1920-1939 r.) firma uruchomiła sklepy filialne w wynajętych lokalach, a mianowicie przy ul. Gródeckiej nr 74, ul. Potockiego 38, ul. Łyczakowskiej nr 40 i pl. Unii Brzeskiej nr 5. Własnością Firmy był również dom mieszkalny, stajnie i magazyny przy ul. Hausnera nr 3, oraz folwark Hołosko Wielkie, z którego część ziemi po wytyczeniu drogi do Brzuchowic ofiarował Dziadek pod budowę Sanatorium Przeciwgruźliczego w Hołosku Wielkim. Oprócz tego firma E. Riedl dzierżawiła pomieszczenia magazynowe na kolejowym dworcu towarowym, gdzie składowano przychodzące towary kolonialne i nasiona z Holandii, Francji, Włoch, Węgier, Ceylonu, Japonii i Chin. Firma miała również umowy agencyjne z plantatorami nasion w majątkach ziemskich woj. lwowskiego, gdzie pod specjalnym nadzorem fachowym produkowano najlepsze gatunki nasion. Laboratorium przy sklepie nasionowym przeprowadzało dodatkową kontrolę sprzedawanych nasion.

Firma „Edmund Riedl” na tzw. Targach Wschodnich miała stałe miejsce w pawilonie, gdzie postawiła z drzewa chińską „pagodę” w której wystawiano wszelkie artykuły kolonialne. (Wydawała cenniki w ładnej szacie graficznej, oraz oryginalne opakowania). Przedsiębiorstwo zatrudniało około 30 pracowników a w okresie sezonowym 40 pracowników. (Dostawę towarów w obrębie m. Lwowa załatwiał własny transport, a na prowincję poczta. Przyjmowaniem zamówień na towary ich realizacją, korespondencją, oraz zamawianiem nowych dostaw zajmowali się właściciele firmy.)

Przed wybuchem II wojny światowej właściciele myśleli o otwarciu sklepów firmowych w Centralnym Okręgu Przemysłowym (Mielec, Stalowa Wola, Tarnobrzeg), ale wybuch wojny w 1939 r. przekreślił wszystkie plany.



Od lewej: Kazimierz, Edmund i Tadeusz Riedlowie

Dnia 8 grudnia 1939 r. jak zwykle każdego roku byliśmy z całą rodziną w kościele Katedralnym na Mszy Św. z okazji Święta Matki Boskiej, opiekunki kupców lwowskich. Po powrocie do domu zastaliśmy czekającą na nas ekipę sowiecką z dozorcą domu Ukraincem Janem Paraniakiem. Sklepy, magazynu, piwnice, palarnia kawy i mieszkania stryja Edmunda Riedla na III p. oraz nasze na I p. z całym dobytkiem zostały zaplombowane, a klucze do dalszej dyspozycji jakby symbolicznie otrzymał dozorca. Zostawiono nam jedynie mały pokój koło kuchni dla całej 4-osobowej rodziny z równoczesnym zakazem zmiany miejsca zamieszkania. W styczniu 1940 r. z powodu tych przeżyć zmarł nagle na serce stryj Edmund. Drugi stryj Tadeusz Riedl, który mieszkał w domu swej żony, przy ul. Dwernickiego, dzięki jej rodzinie mieszkającej w USA posiadał paszport portorykański, dzięki temu mógł spokojnie przetrwać wraz z rodziną te ciężkie czasy okupacji sowieckiej i niemieckiej. Na placu boju do prześladowań za firmę i burżuazyjne pochodzenie pozostał nasz Ojciec Kazimierz. W obawie przed aresztowaniem i wywiezieniem na Sybir, przeprowadziliśmy się z zachowaniem ostrożności i tajemnicy przed dozorcą — na ulicę Nabelaka nr 31 — zajęliśmy dwu.pokojowe mieszkanie bez kuchni po prof. Irwinie, wykładowcy języka angielskiego na lwowskich wyższych uczelniach. Mieszkanie to o tyle wydawało się bezpieczne, bo nie było żadnego właściciela kamienicy, gdyż była to tzw. masa spadkowa, którą zarządzał adwokat znajomy Ojca.

Ojciec zaczął pracować jako robotnik w ogrodzie botanicznym, gdzie w ten sposób ukrywało się wiele zagroźonych osób. Reszta rodziny pracowała w szpitalu pediatrycznym Św. Zofii, malowała dekoracje w teatrze do wystawianych oper pod opieką malarzy

lwowskich Feliksa i Kazimierza Wygrzywalskich, oraz haftowała krzyżykami bluzeczki dla spółdzielni. Te sino-żółte kolory haftów ukraińskich śnią mi się do dzisiaj.

Z początkiem czerwca 1941 r. zostaliśmy jednak zlokalizowani przez milicję i zarejestrowani. Z balkonu mieszkania widać było gromadzące się od paru dni przy ul. Pełczyńskiej wozy konne i samochody ciężarowe. Był to znak zbliżającego się kolejnego wywozu na wschód ludności polskiej. Zaczęliśmy przygotowania do podróży (paczki z mydłem, maścią na świerzb, suchy prowiant, leki i trochę odzieży).

Dnia 21.VI.41 r. po południu odwiedził nas prof. Ochęduszek z Politechniki Lwowskiej wraz z małżonką. Ochęduszkowie odwiedzali nas dość często, ponieważ byli spowinowaceni z naszą rodziną. Przy pożegnaniu Ojciec powiedział mi, że się już chyba nie zobaczymy, gdyż pewnie nas najbliższym transportem wywożą, chyba, że zdarzy się cud. I rzeczywiście stał się cud. 22 czerwca 1941 r. nad ranem zbudziły nas wybuchy bomb. Rozpoczęła się wojna niemiecko-rosyjska i uniknęliśmy wywózki. W czasie okupacji niemieckiej, Ojciec aby utrzymać rodzinę otworzył sklep nasionowy. Przydziały z tzw. „Centrali Nasionowej” były bardzo ograniczone i prawie reglamentowane, a szczególnie groch i fasola. Rodzice nasi nie bacząc na grożące im niebezpieczeństwo wydawali z każdego przydziału kosze fasoli i grochu głodującej inteligencji, zakonom i innym potrzebującym. W dodatku w sklepie była skrzynka kontaktowa A.K.

Z ul. Nabelaka przeprowadziliśmy się z powrotem na ul. Rutowskiego nr 3 gdzie mogliśmy zająć zaledwie 2 pokoje z kuchnią, ponieważ część mieszkania w czasie naszego pobytu na ul. Nabelaka zajął dozorca a resztę ob. ZSRR Jaremienko, który był człowiekiem jednakowo dobrze czującym się za okupacji sowieckiej jak i niemieckiej. Po ponownym zajęciu Lwowa przez Sowieców ogłoszono, że na podstawie układów w Jałcie Lwów jest włączony do ZSRR a ludność narodowości polskiej ma się rejestrować na wyjazd z tych obszarów i z tego miasta. Akcję tą nazwano „repatriacją”, co jest niezgodne ze znaczeniem tego słowa, albowiem przesiedlanie się w granicach własnego państwa nie jest repatriacją. Ojciec nasz nie chciał nawet myśleć o opuszczeniu Lwowa i nie wierzył w to aby Churchill i Roosevelt w Jałcie tak swoich sojuszników Polaków zdradzili odstępując Stalinowi prawie pół terytorium Polski. Uwierzyć jednak musiał, kiedy 2 stycznia 1945 r. wieczorem przyszło do domu trzech funkcjonariuszy NKWD z dozorcą domu. Pokazali nakaz aresztowania i oświadczyli Ojcu, że za długo zwlekał z zapisaniem się na wyjazd. Dokładnie mu oświadczyli „Wy dumali i przedumali”, jako znany obywatel Lwowa dawaliście zły przykład innym mieszkańcom miasta, którzy ociągają się z rejestracją. Ojciec nasz z podniszczonym kocem na ręce został zabrany z domu. Na drugi dzień pojawiła się oczywiście następna ekipa, która znowu „znacionalizowała” re-

sztki mienia oraz zmagazynowane na sezon wiosenny nasiona. Po krótkim pobycie w więzieniu na ul. Łąckiego został wywieziony do obozu w Krasnononie. Straż kolejowa i wojskowa nie pozwoliły na dostarczenie żadnej paczki więźniom stłoczonym w wagonach towarowych i patrzących na nas bezradnie. Wielu z nich nie wróciło już nigdy. W listopadzie 1945 r. Ojciec został zwolniony z obozu „z powodu braku dowodów winy”. W czasie jego drogi powrotnej do Lwowa wydarzyły się dwie niezwykle rzeczy świadczące o Opiece Bożej nad naszym Ojcem, który był człowiekiem głęboko wierzącym, niezwykle łagodnym i dobrym. Wypisano go z obozu wyczerpanego i chorego z biegunką i temperaturą. Na dworcu kolejowym w Kijowie nie mógł się absolutnie dostać do pociągów jadących w kierunku Lwowa, był wypychany, strącany ze stopni wagonu. W tej sytuacji bezsilny, zrezygnowany zaczął po prostu bezwiednie iść przed siebie. W tym stanie półświadomości znalazł się na starym cmentarzu i tu z rozpaczy postanowił się powiesić. Popatrzył na Krzyż. W tym momencie w Jego oczach ten Krzyż stał się czerwony. Ojciec przypomniał sobie nagle, że jest na świecie „Czerwony Krzyż”. Ostatnim wysiłkiem powrócił na stację kolejową i zobaczył na dworcu drzwi ze znakiem czerwonego Krzyża. Zaopiekowała się nim zaraz

pielęgniarka, dała gorącej herbaty i po kilku godzinach odpoczynku wprowadziła go jako chorego do pociągu jadącego do Lwowa. Znalaziono go wieczorem przed bramą swojego domu przy ul. Rutowskiego nr 3, zasypanego już częściowo padającym śniegiem. Przywrócony do życia i sił przez swojego szwagra dr hab. Franciszka Naroga przyjechał z transportem tzw. uniwersyteckim. Mieszkał krótko w Gliwicach, a potem w Krakowie. Pracował jako urzędnik w Wojew. Poradni Okulistycznej w Krakowie. Zmarł we wrześniu 1957 r. w 71 roku życia. Nie mógł być pochowany w grobowcu rodzinnym, sąsiadującym z grobem Marii Konopnickiej na Cmentarzu Łyczakowskim.

W 1976 z wycieczką „Orbis” pojechaliśmy do Lwowa. Trudno opisać wrażenia jakie się przeżywa w spotkaniu z opuszczonym domem, ulicą, cmentarzem itp., ale o jednym trzeba napisać. Weszliśmy do bramy naszego domu i na podwórzu. Zobaczyliśmy, że oficyna w której była palarnia kawy została wyburzona. Popatrzyliśmy na siebie wymownie — co stało się z magazynem broni A.K. ukrytej pod belkami, które tworzyły fundamenty na których stały zamontowane urządzenia. Szybko opuściliśmy podwórze, mogło być niebezpiecznie.

IRENA SUCHANEK

DZIADZIO — Józef Swatoń (1898-1975)

W kamienicy przy ulicy Zadwórzeńskiej 16 we Lwowie była przed wojną bursa pod wezwaniem św. Stanisława Kostki. Za pierwszej — sowieckiej, a następnie niemieckiej okupacji mieściła się w niej placówka opiekuńcza dla około setki polskich dzieci, osieroconych lub rozdzielonych z najbliższymi w wyniku działań wojennych. Do czasu wkroczenia Niemców do Lwowa w 1941 roku, nasz tytułowy bohater, Józef Swatoń był zatrudniony na Zadwórzeńskiej jako nauczyciel śpiewu, równocześnie występując w charakterze skrzypka w Filharmonii Lwowskiej. Dane dotyczące wielu elementów bogatej biografii J. Swatonia pochodzą z artykułu mgr Stanisława Sypka zamieszczonego w „Ruchu Muzycznym” w 1968 roku pt. „50 lat pracy nad upowszechnianiem muzyki”, z okazji 70 rocznicy urodzin wykładowcy Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia im. Fr. Chopina w Warszawie, gdzie Józef Swatoń wówczas pracował. Należy przypuszczać, że materiały do wymienionego artykułu dostarczył sam Jubilat.

Kim był Józef Swatoń? Jego życie, jak wielu mu współczesnym, wydarzenia historyczne podzieliły na trzy okresy. W każdym z nich przyszło Mu pełnić inne, wynikające z uwarunkowań, ale też naznaczone nieprzeciętnymi cechami osobowości, role.



Józef Swatoń

Urodził się Józef S-15watoń we Lwowie jako syn znanego lutnika i konserwatora instrumentów muzycznych. Uczęszczał do IV Gimnazjum Rządowego razem z Tadeuszem Sygietyńskim, z którym zawarła wówczas przyjaźń zaowocuje po latach współpracą przy organizowaniu Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Po ukończeniu Konserwatorium w klasie skrzypiec Maurycego Wolfstala, zostaje skrzypkiem w orkiestrze Opery Lwowskiej. Po I Wojnie Światowej przenosi się do Krakowa, gdzie rozpoczyna budzącą uznanie działalność pedagogiczną. Współpracuje z Chórem „Echo”, jest organizatorem reprezentacyjnej imprezy artystycznej pod nazwą „Święto pieśni”, która odbywała się w latach 1936-1939 r. na Wawelu. Prowadzi wakacyjne kursy dla nauczycieli śpiewu w Siennicy. Zdarzyło mi się spotkać po wojnie wielu nauczycieli wspominających ze wzruszeniem i uzaniem wysoki poziom i znakomitą atmosferę tych kursów. Miałam też okazję obejrzeć zawartość sporych rozmiarów kufra z tzw. laurkami i adresami pożegnalnymi od słuchaczy, pełnymi wdzięczności, sympatii, podziwu, a także humoru. Bo J. Swatoń oprócz wielu wspaniałych cech posiadał duże poczucie humoru, o czym będzie mowa w dalszej części tych wspomnień.

Życie Józefa Swatonia od samego początku jest naznaczone muzyką. Gra, koncertuje, komponuje i propaguje muzykę. Pozostawił po sobie wiele utworów w tym etiudy na fortepian i skrzypce, muzykę do przedstawień i audycji radiowych, opracowania ludowych pieśni i tańców. Niektóre z nich wydrukowało Wydawnictwo Małopolskiego Związku Teatrów i Chórów Ludowych w Krakowie.

W 1939 roku wraca J. Swatoń do Lwowa, do Filharmonii. Po zajęciu miasta przez wojska sowieckie uczy śpiewu i prowadzi chór w Domu Dziecka przy ul. Zadwórzeńskiej 16. Kierownictwo tej placówki jak i obsada pedagogiczna to Rosjanie lub osoby cieszące się zaufaniem władzy radzieckiej. Józef Swatoń, jako dochodzący na kilka godzin tygodniowo nauczyciel, nie był ideologicznie sprawdzany. Kiedy w czerwcu 1941 roku wkroczyli do Lwowa Niemcy, Dom Dziecka został praktycznie bez opieki. Nie ma potrzeby rozważać co by było gdyby nikt nie zajął się w porę tą placówką. Człowiekiem opatrnościowym okazał się Józef Swatoń. Przyszedł z Górnego Łyczakowa, aby zwyczajnie, po ludzku dowiedzieć się co słychać i ... został. Znając dobrze język niemiecki szybko zapanował nad sytuacją. W pierwszych dniach okupacji niemieckiej zakwaterowano na Zadwórzeńskiej kilku oficerów. Najstarszy rangą — wiedeńczyk — co zgodnie z przyjętym stereotypem oznaczało „przyzwoity Niemiec” mile zaskoczony znajomością wiedeńskiej muzyki przez J. Swatonia pomógł w uzyskaniu zaświadczenia, wyłączającego ten dom z pod kwaterunku. Tak więc zgodnie ze swoim obywatelskim poczuciem obowiązku został J. Swatoń kierownikiem placówki opiekuńczej ze wszystkimi problemami jakie się z tą funkcją w tym trudnym okresie wiązały.

Jak było we Lwowie w czasie okupacji wie każdy kto przebywał wtedy w tym mieście. Głód, chłód i gorsze od wszystkiego zagrożenie życia były udziałem Polaków. Od głodu i chłodu nie łatwo było uchronić dzieci nad którymi J. Śwatoń rozłożył opiekę, choć robił wiele, aby te uciążliwości złagodzić. Potrafił za to zapewnić im poczucie bezpieczeństwa, stwarzając niepowtarzalną atmosferę. Wprowadził rodzinne stosunki — stąd ten „Dziadzio” — i nieformalne kierowanie zespołami: dziecięcym i pracowniczym. Dzieci po odrobieniu zadań domowych i wykonaniu czynności z zakresu samoobsługi uczestniczyły w zajęciach muzycznych i próbach chóru. Była to znakomita odskocznia od okropności, które działy się tuż za murami zakładu. Za namową J. Swatonia, nauczycielka pobliskiej szkoły, pani Ewa Dworska zaczęła z udziałem dzieci organizować przedstawienia. Były to przeważnie inscenizacje bajek takich jak „Jaś i Małgosia”, „Czerwony Kapturek” i inne, a także przedstawienie pasyjne „Gdzie jesteś, Panie?”, oraz jasełka. Pierwszymi widzami byli rodzice uczniów pani Ewy Dworskiej, jej sąsiedzi i znajomi. Być może wówczas narodził się pomysł zorganizowania występów bardziej dochodowych. Józef Swatoń — absolwent Konserwatorium, były pracownik Opery i Filharmonii miał wielu znajomych i przyjaciół w artystycznym środowisku Lwowa. Większość z nich zresztą zatrudniła się gdzie się dało, aby tylko nie współpracować z okupantem i, obok głodowych — ale jednak — kartek żywnościowych i pensji, uzyskać jakieś takie gwarancje wyreklamowania się przed wywiezieniem. Odcięci od działalności artystycznej weszli w konspirację.

I oto w skromnej sali domu dziecka mieszcząca około 200 krzeseł, ze słabo oświetloną scenką i wąskimi kulisami zaczęły odbywać się koncerty prawdziwych artystów. Były to przeważnie składanki, fragmenty przedwojennego repertuaru poszczególnych wykonawców. Odbywały się zawsze w niedzielę, wczesnym popołudniem. Bilety rozprowadzano wyłącznie wśród osób zaufanych, z ręki do ręki. Wprawdzie koncerty odbywały się pod pretekstem odwiedzin dzieci, jednakże konspiracja była konieczna. W ówczesnym Lwowie obowiązywało zarządzenie władz okupacyjnych zabraniające urządzania zgromadzeń powyżej 30(?) zdaje się osób, poza kościołem. Na Zadwórzeńską przychodziło dużo więcej. Nie można więc było dopuścić do ujawnienia prawdziwego powodu obecności aż tylu osób naraz i to się, o dziwo, dość długo udawało. Sala widowiskowa była usytuowana na drugim piętrze budynku, obok pokoi do nauki i sypialni, które były na trzecim piętrze. Stwarzało to możliwość szybkiego w razie potrzeby rozlokowania „odwiedzających” pomiędzy dziećmi. Brama na czas koncertu była zamknięta, a dozorca dokładnie poinformowany, jak ma postąpić w przypadku pojawienia się nieproszonych gości. Konieczność zapewnienia bezpieczeństwa zarówno dzieciom jak i gościom koncertów była po-

wodem zaniechania dekoracji, strojów itp. niewygodnych do szybkiego usunięcia, rekwizytów. Tylko dzieci paradowały w swoich strojach do tańca, aby można było zamarkować występy de facto, występami dzieci. Tak więc koncertowym gościom musiały wystarczyć muzyka, słowo, gest. I wystarczały tym bardziej, że była to porcja dobrej muzyki i literatury, w dobrym na ogół wykonaniu. Z artystów występujących na Zadwórzeńskiej zapamiętałam Andrzeja Hiolskiego, a z listu p. Wiesława Kowalczyka ze Świdnicy dowiedziałam się, że występowali tam m.in. Tadeusz Mahl, pianista i Celina Nahlik, była spikerka Polskiego Radia we Lwowie, która na Zadwórzeńskiej recytowała wiersze o tematyce miłosnej, Roman Mackiewicz, tancerze i akordeoniści w repertuarze przedwojennych przebojów. Przyznam się, że wzruszył mnie ten fragment listu p. W. Kowalczyka, który dotyczy wyglądu zewnętrznego koncertowych gości, cytuję: Całość służyła dobrze założonemu celowi dostarczenia chociażby najskromniejszej rozrywki, ale utrzymanej na dobrym poziomie. Być może ta ciasnota, skromny wystrój i czas, w którym żyliśmy — bardzo nas widzów i występujących aktorów wiązała. Nie mniej jednak — mimo pewnych trudności — przychodzić należało odpowiednio ubranym. No i cóż, pewien procent widzów rzeczywiście ubierał się przyzwoicie a nawet wytwornie. Pozostali, jak kto mógł — aby czysto i względnie poprawnie”. Dalej p. W. Kowalczyk pisze: „Dom Dziecka stał się jak gdyby klubem stałych bywalców”. Otóż to! Za drzwiami szalejący terror niemiecko-ukraiński, a tu troska o nieuchybianie konwencji towarzyskiej, Sądzę, że między innymi i ten, zdawało by się marginalny szczegół dotyczący dbałości o wygląd zewnętrzny, świadczy o znaczeniu koncertów dla tych którym, dzięki przychylności losu dane było znaleźć się w „klubie”. Widocznie te kilka taktów, kilka słów, których podtekstu trzeba się było domyśleć, znaczyły dla bywalców Zadwórzeńskiej tyle, co przedwojenne pełnospektaklowe przedstawienia z udziałem wybitnych



Od lewej: Zofia Musiałek, Władka Chruścińska, Józef Swaton, Krystyna Suchanek i Ludka Hałek

artystów (nie ujmując tym którzy już wówczas mogli być tak nazwani, bądź okazali się być wybitnymi w późniejszym czasie). Widzowie we fragmentach repertuaru odnajdowali to co ukształtowało ich kulturalnie i patriotycznie, umacniało wolę trwania i przetrwania, dawało chwilę odprężenia, wytchnienia od koszmaru życia w okupowanym Lwowie.

Koncerty cieszyły się takim powodzeniem, że postanowiono powtarzać je na tzw. porankach. Każdą imprezę rozpoczynał chór dziecięcy pod kierownictwem J. Swatonia. Zwykle śpiewano 3-4 piosenki, w tym jedną lub dwie z poprzedniego koncertu. Były to przeważnie pieśni ludowe, lub opracowane na motywach ludowych Moniuszki, Noskowskiego, Wodiczki, Kazury, Kurpińskiego, Swatonia. Już po wojnie miałem okazję usłyszeć jedną z nich, skomponowaną przez J. Swatonia w wykonaniu śpiewaczki operowej z Poznania Zofii Zawadzkiej — Łagodowej, która włączyła „Lecą śnieżki” do swego koncertowego repertuaru. Oprócz chóru pojawiały się w programie koncertów tańce w wykonaniu dzieci. Do występów przygotowywał je baletmistrz Opery Lwowskiej Tadeusz Burke. Były to krakowiaki, kujawiaki, w coraz to innym układzie tanecznym, inscenizacje, np. mazura „Umarł Maciek”, mazura z opery Moniuszki „Halka”, taniec hiszpański De Falli i inne. Tadeusz Burke dwie najzdolniejsze dziewczynki umieścił w prywatnej szkole baletowej. Zajęcia odbywały się przy ul. Chorążczyzny. Kiedy osoba prowadząca ćwiczenie złamała rękę, zastąpił ją jeden z braci Faliszewskich, podobnie jak sam Burke. Podaję te szczegóły dla podkreślenia, że i występy chóru i produkcje taneczne dzieci to nie była taka znów amatorszczyzna. A oto jeszcze jeden szczegół, jaki wypłynął z mroków pamięci. W popularnym dzienniku Lemberger Zeitung pisywał satyryczne wierszyki anonimowy poeta. Posługiwał się pseudonimem, pod którym nie wiadomo kto się ukrywał. Wierszyki podobały się, ale autora obrzucano inwektywami za współpracę z okupantem. Treść tych wierszyków nie miała nic wspólnego z gloryfikacją okupanta niemieckiego, dotyczyła spraw codziennych i przyziemnych, kartkowych przydziałów, kolejek i tym podobnych »przyjemności« czasu wojny. Autor tych satyrycznych drobiazgów, czy dla podniesienia popularności koncertów, czy może raczej po to, aby uchyliwszy przyłbicy stawić czoło oszczercom zdekonspirował się podczas jednego z koncertów. Bliższych szczegółów nie znam wiem tylko, że wywołało to niemalą sensację.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. To porzekadło potwierdziło się i na Zadwórzeńskiej. Organizatorom przestały wystarczać składanki. Gdzieś pod koniec roku 1943 wystawiono szopkę satyryczną z Hitlerem, jako malarzem pokojowym, a na początku 1944 roku rewiew której głównym bohaterem był oczywiście — Lwów. Pamiętam walczyka w wykonaniu lwowskiego batiara, „kto raz cię poznał Lwowie nasz, twe złote serce które masz”, zakończonego słowami „ten wie, że raz prześnił cudowny czas, przy tobie, Lwowie nasz.”

W tym miejscu wypadałoby powtórzyć za M. Hemarem „o śliczny oleodruk”. Dla zrównoważenia pięknego obrazu omówię sprawy, które mogły naruszyć dobrą opinię organizatorów imprez przy ul. Zadworzańskiej i doprowadziły do całkowitego zaprzestania koncertów. Wspomniana wyżej rewia była ostatnim programem.

Konspiracja ma to do siebie, że działając w ukryciu, czasem celowo myląc tropy prowokuje do domysłów i bolesnych oskarżeń”. Takim niezasłużonym posądzeniem objęto J. Swatonia i być może inne jeszcze osoby współpracujące z nim przy organizacji koncertów. Zarzut dotyczył czerpania osobistych korzyści materialnych, no, bo – bilety po ileś tam złotych, sala za każdym razem wypełniona po brzegi, dwa koncerty tygodniowo i żadnych wydatków na gaże, kostiumy, dekoracje, lokal, światło. W głodującym Lwowie mogły powstać u osób podejrzliwych domysły co do przechwytywania wpływów z koncertów. Dowiedziałem się o tym z listu p. W. Kowalczyka, który sam nie dał wiary insynuacjom, ale wspominał o tym w korespondencji. Dzięki mu za to! Z prawdziwą przyjemnością mogę zdecydowanie zaprzeczyć temu pomówieniu, powołując się na świadectwo najlepiej zorientowanych w sprawie osób a to: pani Jadwigi Tuziak, która wykonywała obowiązki biurowo-księgowe, pani Marty Tuziak, wychowawczyni, pani Haliny Pilarskiej, żony woźnego i wychowanków biorących udział w transportowaniu zakupów. Pieniądze, ze sprzedaży biletów szły w całości na poprawienie żywienia dzieci. Kupowano nieosiągalne – jak tylko na czarnym rynku – olej, bób, fasolę, na pobliskim placu przy ul. Brzeskiej. Dokumentacji ze zrozumiałych względów nie prowadzono, ale zakupy były robione regularnie na początku każdego tygodnia. Jeszcze dodam, że nigdy nie podejmowano jakimkolwiek poczęstunkiem – nawet herbatą – ani organizatorów, ani artystów.

Sprawa która doprowadziła do zaprzestania koncertów, miała się następująco. Biorąc udział w koncertach pani zachowała całkowitą konspirację nawet przed własnym mężem. Ten przekonawszy się, że żona nie bywa pod podawanymi przez nią adresami, postanowił ją śledzić. I wyszedł. Przysłał następnie anonim, w którym było coś o sprzyjaniu schadzkom (albo mąż taki zazdrosny, albo żona zbyt roman-sowa) i pogróżki, że jeśli się ta zabawa nie skończy to da znać gdzie trzeba. Koncerty zostały natychmiast przerwane.

Kończąc dość ogólnikowo potraktowane wspomnienia o konspiracyjnych koncertach, chcę jeszcze, zgodnie z zapowiedzią zapoznać czytelników z kilkoma fragmentami z życia dzieci tego niezwykłego, jak na okupację domu dziecka. Przede wszystkim, sztywność jaka mogła powstać na osi kierownik – wychowankowie, usunął Józef Swatoń, każąc mówić do siebie „dziadziu”. Tak też był nazywany i pod tym mianem zachował się w pamięci i dorosłych i dzieci.

Kiedy rozpoczęto niedzielne koncerty i tyle obcych ludzi zaczęło przechodzić klatką schodową na drugie piętro, Dziadzio zaproponował starszym dziewczynkom wykonanie gazetki ściennej i aktualizowanie jej co dwa tygodnie. Chciał – jak mówił – by ludzie odwiedzający tę placówkę, dowiedzieli się pewnych szczegółów związanych z wewnętrznym życiem domu dziecka. Szczęśliwie wśród dziewcząt znalazła się taka, która posiadała dar rymowania. Oprócz opisywanych prozą scen z życia zakładu, rysunków i karykatur, znalazła się w gazetce także i poezja. Te „częstochowskie” rymy niezbyt zadawały Dziadka, bo umówił dziewczynkę z młodym człowiekiem (poetą?, polonistą?), aby zachęcił ją do czytania klasyków i szlifowania formy. Przyczołże teraz fragmenty wierszyków jakie ukazywały się na łamach wspomnianej gazetki. Oto siódma zwrotka wiersza, jednego z wielu, jakie zostały napisane dla Dziadka z okazji jego imienin:

*Tyś nas nauczył śpiewać i z pieśnią iść przez świat,
Więc żyj nam Dziadziu kochany, żyj nam choć ze sto lat.*

Atmosferę tamtych czasów najlepiej oddają wiersze poświęcone wydarzeniom nietypowym. Oto fragment wiersza „tańcząca grupa”:

*Zbudziły mnie jakieś krzyki, ja się zrywam, co się dzieje?
Biegnę na dół, a po drodze myślę, to pewnie złodzieje.
A tymczasem pierwsza grupa, dziś był balet po obiedzie,
tańczy sobie krakowiaka, panna Asia zaś prym wiedzie.*

Wiersz „Hajcujecie jak burzuje” znakomicie oddaje stosunki panujące na Zadworzańskiej:

*Gdy nastały wielkie mrozy, szczypiąc w ręce, uszy, nogi
Zawitały nasze dzieci w kancelarii niskie progi.
Drogi Dziadziu, miły Dziadziu, wschwieżdzący dyrektorze
czy można by dziś zapalić torszkę więcej niż
przed mrozem?*

*Z miłą chęcią, rzecz Dziadzio, tylko same węgiel węźcie
I zapalcie, i podłóżcie, by wam ciepło było wreszcie.*

Tu następował opis różnych czynności i kłopotów związanych z tym przedsięwzięciem. Oto dziesiąta, ostatnia zwrotka tego wiersza:

*Moc trudów, powiedzcie sami, palenie każde kosztuje,
A tu jeszcze Dziadzio krzyczy, hajcujecie jak burzuje!*

Zdarzyło się, że autorka tych rymowanek nie zdążyła zamieścić w gazetce zapowiedzianego wierszyka. Na drugi dzień okazało się, że są wierszyki, satyryczne drobiazgi, podpisane ES. Wszyscy zachodzili w głowę, kto może być ich autorem. Okazało się, że sam Józef Swatoń. Czyż nie miał poczucia humoru?

*Ładnie śpiewa, lepiej fika, grunt to taniec i muzyka.
Wysoka i chuda jak tyka i przed robotą czasem zmyka-
Lubi piosenki śpiewać, a nawet na chórze poziewać,
choć Dziadzio się będzie gniewać.*

*Głos ma mocny stróż nocny, jest to filar nasz chórowy,
Złote serce, choć w rozterce, lubi czytać, mało pytać.
Dopóki nie mówi, to każdy ją lubi, anioł — dziewczyna.
Lubi w piecu palić, dziesięć wiader wwalić, anioł
— dziewczyna.
Ale jak już zaczną trajkotać tak smacznie, diabeł
— dziewczyna.*

Innym razem taki oto wierszyk znalazł się w gazecie:

*Więcej chleba nam potrzeba, niech się na nas nikt
nie gniewa
I nikz z nudów niech nie ziewa, że nam chleba więcej
trzeba.
Więcej chleba nam potrzeba i choć o nas ludzie dbają,
Często kiszki marsza grają, bo nam chleba więcej trzeba.*

Był to również wiersz autorstwa Józefa Swatonia. Wspominam te błahostki, bo one właśnie tworzyły tę niepowtarzalną atmosferę jaką zapewniał swoim niezaprzeczalnym autorytetem, Dziadek. Stwarzało to iluzję, że pod opieką Józefa Swatonia nic złego stać się nie może. Pani Halina Pilarska, która z mężem zajmowała służbowe mieszkanie na parterze budynku, potwierdziła serdeczne oddanie Dziadka garstce polskich dzieci i jego wolę przeprowadzenia ich przez ten ciężki czas, bez obciążania świadomości okropnościami wojny. Tworzenie atmosfery normalności z apomocą żarcików, przekomarzania się, a w razie potrzeby szczerzej, serdecznej, rzeczowej rozmowy, sprawna organizacja, dbałość o ład i porządek, cechowały Józefa Swatonia w czasie kiedy pełnił funkcję kierownika domu dziecka. Od dzieci oczekiwał sprawnego wykonywania czynności samoobsługowych i nieopuszczania się w nauce, od dorosłych — dobrego przykładu.

W rozmowie z panią Martą Tuzlak-Berezowską dowiedziałam się, że Józef Swatoń był członkiem AK i wciągnął ją do współpracy. Wykonywał drobne zadania, ale domyśla się, że rola J. Swatonia w organizacji była poważniejsza, ale obowiązywała tak ścisła konspiracja, iż dzisiaj nic więcej na ten temat nie może powiedzieć. Wydaje się, że w ścisłym związku z przynależnością do AK było przyjęcie przez J. Swatonia kilku dzieci żydowskich. Ile ich było, nie wiadomo. Sama przyprowadziłam małego Jasia z więzienia przy ul. Łackiego, który miał w pantoflu zaszyte prawdziwe dane... Pamiętam też Henia, którego ktoś przyprowadził mówiąc: u was przeżyje.

W lipcu 1944 roku przestał istnieć Dom Dziecka przy ul. Zadwórzeńskiej. Dzieci, część personelu i dobytku przewieziono do Rudna koło Krzeszowic, skąd po paru miesiącach wegetacji rozlokowano dzieci po domach dziecka, głównie na terenie Opolszczyzny. I tu szczegół wart podkreślenia. Do Rudna zabrano z Zadwórzeńskiej 12 worków suszonego bobu zakupionego za pieniądze z koncertów. Znacznie to złagodziło głodowe racje żywnościowe, jakie otrzymywały dzieci w tej przejściowej placówce.

Józef Swatoń po krótkim pobycie w Krakowie przeniósł się z żoną do Warszawy, aby z sobie właściwym zapałem włączyć się do organizowania muzycznego życia stolicy. Ministerstwo Kultury i Sztuki powołało Go na stanowisko dyrektora Departamentu Szkolnictwa Artystycznego. Został przewodniczącym Zarządu Głównego Związku Muzyków. Zainicjował powołanie komitetu odbudowy Filharmonii Warszawskiej. Od roku 1950 był dyrektorem biura koncertowego w „Artosie”, a w 1956 roku przyjął funkcję kierownika sekcji muzycznej w Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego. Został też członkiem komisji programowej „Polskich Nagrań”. Równocześnie opracował śpiewniki, podręczniki muzyczne, m.in. „Elementarne wiadomości z zasad muzyki i form muzycznych” wydany w 1959 roku, publikował artykuły na tematy muzyczne. Na emeryturę przeszedł ze stanowiska wykładowcy w Państwowej Szkole Muzycznej II stopnia im. Fr. Chopina i pozostawał w tej placówce jeszcze przez kilka lat, pracując w niepełnym wymiarze godzin.

Józef Swatoń był przez całe życie człowiekiem aktywnym. Zajmował się tym co lubił i do czego predystynowały Go wykształcenie, zdolności lub obowiązki moralne. Nawet w orkesie najmniej sprzyjającym kultywowaniu zainteresowań muzycznych, propagował i uprawiał tę swoją muzyczną działalność. Znaczną część życia poświęcił działalności pedagogicznej, jako nauczyciel, instruktor, a następnie kierownik, wychowawca i чуły (ale nigdy чулосткову) opiekun dzieci polskich w czasie okupacji we Lwowie. Nie zachowały się dokumenty z tego lwowskiego okresu, jedynie wspomnienia — coraz bardziej nikłe — tych którzy mieli szczęście spotkać Go na swojej drodze życia.

Za to w Siennicy, w szkolnym muzeum pamiątek po Siennickich Szkołach Pedagogicznych, jak dowiedziałam się z listu kustosa tego minimuzeum p. St. Czajki, znajdują się pamiątki i dokumenty dotyczące działalności Józefa Swatonia. Są to fotografie, manuskrypty jego prac, pamiątki uczennic Profesora, jak Go w Siennicy nazywano. W oparciu o siennickie zbiory można by napisać obszerniejsze studium poświęcone Swatonowi — muzykowi, Swatonowi — propagatorowi kultury muzycznej i organizatorowi różnych form amatorskiego ruchu muzycznego. W Siennicy i okolicy Mińska Mazowieckiego żyją jeszcze osoby, które znały Józefa Swatonia, jego uczniowie i sympatycy. Jest to ważny argument przemawiający za podjęciem rzuconego tu wyzwania.

Kończąc wspomnienia o niezapomnianym Dziadku — Józefie Swatoniu, pragnę podziękować wszystkim którzy zareagowali na mój apel w „Przekroju” i nadesłali listy i dokumenty bez których napisanie tych wspomnień byłoby utrudnione. Serdecznie dziękuję pani Helenie Hołub z Gdańska, panu mgr St. Czajce z Siennicy, panu mgr St. Sypkowi z Warszawy, panu Wł. Kowalcukowi ze Świdnicy, pani Annie Sobol z Wrocławia, oraz paniom Marcie Berezowskiej i Halinie Pilarskiej z Krakowa.

Lwowskie „Zaświecie”

Przedmieście Halickie we Lwowie w I połowie wieku XVII zamykały dwa wzgórza: Góra Szembergowa i Góra Kalecza. Były to tereny już poza murami miasta, które patrycjat lwowski upatrzył sobie jako miejsce niedzielnego czy świątecznego wypoczynku i sielskich zabaw. Teren między wzgórzami zapełnił się z czasem podmiejskimi dworami, tu obrały sobie za idealne miejsce do skupionej kontemplacji i służby Bożej siostry karmelitanki i tu po wypędzeniu sióstr przez Józefa II w poklasztornych budynkach, już z początkiem XIX w. założył Józef Maksymilian Ossoliński swój słynny później Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Po zboczach wzgórz pięły się w górę wąskie i kręte uliczki, Kalecza i Cytadela, zwana też niekiedy Forteczną, a u ich zbiegu, w rozległym ogrodzie stał dom o dość osobliwej konstrukcji, szeroko rozsiadły i ozdobiony z jednej strony wznoszący się ponad dachem kwadratową wieżą. Dom ten w r. 1989 kupił dla swojej młodzieńczej żony Marii z Młodnickich i dla jej rodziny znany powszechnie biznesman tamtych czasów, jeden z twórców galicyjskiego przemysłu naftowego Wacław Wolski. Duszą i panią domu od pierwszego dnia objęcia tej posiadłości stała się właśnie owa Maria, a właściwie Maryla (bo takiej formy imienia będzie później używać przez całe życie) z Młodnickich Wolska. Ponieważ była z natury istotą poetyczną i marzycielską, przeto od pierwszego momentu odczuła swoisty urok tego domu, skrytego w gąszczu rozległego ogrodu, na ustronnej ulicy, więc go nazwała „Zaświeciem”. „Zaświecie” — a zatem miejsce niejako poza zgiełkiem świata, niedalekiego miasta — spokój, zacisze.

Genealogia rodzinna Maryli Wolskiej, jednej z wybitnych później poetek tzw. Młodej Polski, była dość powikłana i bardzo znamienita dla narodowościowego charakteru i składu mieszkańców Lwowa. Jej dziadek ze strony matki Karol Monné był potomkiem emigrantów francuskich, którzy przed rewolucją używali nazwiska Monné de la Tour. Karol Monné ożenił się z Kordelią baronówną Wentz zu Niederlanstein ze starej nadreńskiej rodziny szlacheckiej sięgającej swą genealogią głębokiego średniowiecza. Jeden z protoplastów tego rodu Konrad von Alzey uznawany był obok słynnego Waltera von der Vogelweide za domniemanego autora starogermkańskiej sagi o Nibelungach. Na przełomie w. XIX i XX obie rodziny były już od dwu pokoleń całkowicie spolonizowane. Owocem mariażu Karola Monné i Kordelii Wentz była córka Wanda, która po rozejściu się Kordelii z mężem wychowywała się pod opieką dwu kobiet, matki i ciotki, Teresy Wentz, osoby nieprzeciętnie wykształconej, która prowadziła we Lwowie Zakład Naukowo-Wychowawczy dla Panien. Atmosfera domu, mieszczącego się przy Placu św. Ducha, i szkoły była polska, wysoce patriotyczna, uczyli tam znani profesorowie, w domu bywały stale wybitne osobistości lwowskiego świata inteligencji i okolicznego ziemiaństwa. Wanda Monné wychowywała się więc w klima-

cie wysokiej kultury intelektualnej i ideowej. Była dziewczyną uderzająco piękną i wielostronnie uzdolnioną, literacko i artystycznie.

W r. 1865 Wanda Monné poznała na balu mieszczańskim w słynnej Strzelnicy przy ul. Kurkowej Artura Grottgera, którego obrazy już pierwszej podziwiała i marzyła o poznaniu ich twórcy. Była to miłość od pierwszego spojrzenia, która nigdy jednak spełnić się nie miała. Grottger, który już wówczas chory był na gruźlicę, z czego nie zdawał sobie sprawy, zmarł w dwa lata później w Paryżu. Wanda Monné wyszła potem za mąż zgodnie z życzeniem Zmarłego za Karola Młodnickiego, również artystę malarza, który był najserdeczniejszym przyjacielem Grottgera, ale pozostała wierna na zawsze swojej pierwszej miłości. W rodzinie Młodnickich panował swoisty kult Zmarłego, a ich dom zamienił się z czasem jakby w muzeum pamiątek po Grottgerze, jego obrazów, szkiców, korespondencji, przedmiotów codziennego użytku.

W tym klimacie rosła i rozwijała się córka państwa Młodnickich Maryla. Wychowanie odebrała jak to było raczej powszechnie wówczas przyjęte domowe, ale ze względu na profesję ciotki, przełożonej renomowanego zakładu, bardzo staranne i wszechstronne. Dopelnieniem tego wykształcenia była ogólna atmosfera i kultura domu, jego tradycje, częsta w nim obecność przyjaciół ze świata lwowskiej elity intelektualnej. Z natury miała temperament namiętny, żywą wyobraźnię, niezwykłą inteligencję. Chłonęła łatwo wszystko to, co najlepsze w jej najbliższym otoczeniu, ale też buntowała się niekiedy, szukając własnej, swojej drogi i nieskrępowanej przez nikogo wolności. Tak jak w tym wierszu, wyrażającym tak znamienne jej dziewczęce pragnienia:

*Dusza moja na zawsze zostanie dziewczyną,
Co w las poszła o świcie, z dzbankiem, na jagody,
Krasą śmiała i ufna, że choć lata miną,
Ona przetrwa w urodzie lic swych wiecznie młodej...
Dusza moja na zawsze zostanie dziewczyną.*

*Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku,
Ścieżką idzie samotna, wolna, jak ptak w lesie,
W pas się słońcu jednemu kłania o poranku,
Niby wicher swobodna nad życiem się niesie,
Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku...*

*Dusza moja nikomu wziąć się nie da w ręce;
Własna swoja, niczyja, nieznana nikomu,
W zaświaty boży swe serce poniesie dziewczęce,
Niby malin, wieczorem, pełny dzban, do domu —
Dusza moja nikomu wziąć się nie da w ręce.*

Wbrew tym dziewczęcym marzeniom o wiecznej, absolutnej wolności, w życiu Maryli Wolskiej miał się na swój sposób powtórzyć jakby wzór i archetyp uczucia, które tak głęboko i trwale zaciążyło w życiu jej matki — nieoczekiwana miłość, która zagarnia

i zniewala na zawsze. W r. 1887 nieznany jeszcze wówczas szerzej Ignacy Jan Paderewski koncertował we Lwowie. Na koncercie tym, który odbył się przy pustawej na ogół sali, była obecna Wanda Młodnicka z czternastoletnią córką. Paderewski miał wtedy lat 27, był cudownym młodzieńcem, smukłym, wysokim, z burzą lwej, rudo-płowej grzywy nad czołem i miał w dodatku na użytek czaru, jaki rozsiewał samą już aparycją, swoją wspaniałą muzykę. Podbił z miejsca i okazało się na długo wyobraźnię i serce 14-letniej dziewczyny. Maryla Młodnicka wyszła potem za mąż za Wacława Wolskiego, który był najidealniejszym mężem, urodziła mu pięcioro dzieci, ale czar tamtej, pierwszej, romantycznej i dziewczęcej miłości wciąż trwał. Widywała potem Paderewskiego przy różnych okazjach, zwierzała się w listach do Elizy Orzeszkowej ze spotkania z nim w Warszawie w czasie odłonięcia pomnika Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu:

„... wyrwałam się z Matką moją — zobaczyć pomnik, Warszawę — i Paderewskiego. I przeceniłam swoje siły [...] zrobiłam źle [...] Sądziłam że po latach tyłu — zdołam bez wstrząśnięcia głębszego zobaczyć tego człowieka, że potrafię patrzeć już na niego jako na fatamorganę przeszłości — na widmo snów moich dziewczęcych, które przeszły, a dzień trzeźwy, biały dzień dla mego życia nastał. Ale czar trwa [...] Kiedy stanął przede mną — zdawało mi się, że moja młodość przychodzi do mnie i mówi: „Jestem” [...] miałam wrażenie, którego do śmierci zapomnieć nie zdołam [...] że mi ten człowiek duszę zabiera [...] na własność”.

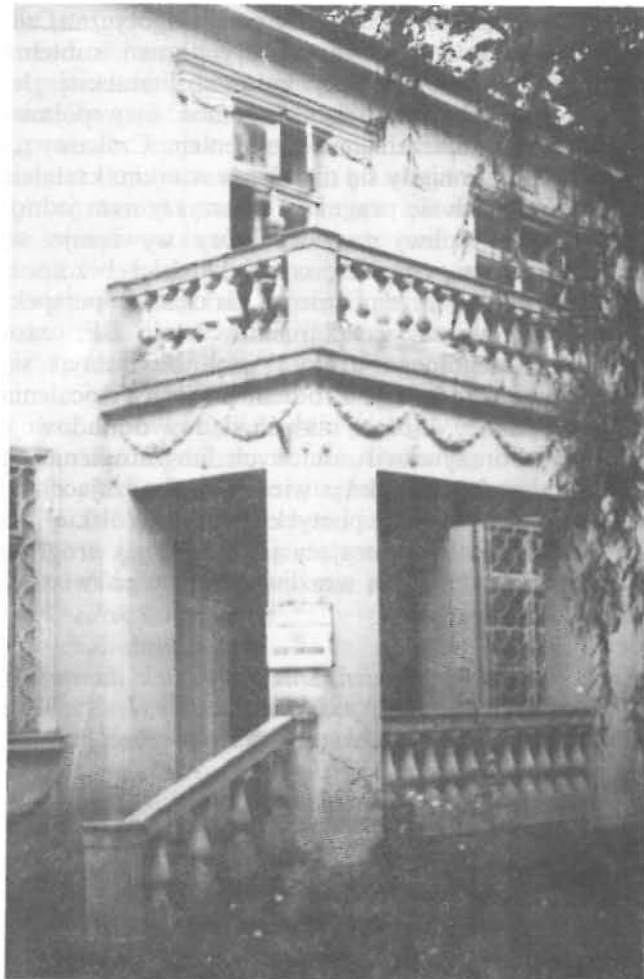
Maryla Wolska była bardzo dyskretna w wyrażaniu swoich uczuć intymnych. Niemniej są u niej takie wiersze, w których adresat owych wyznań poetyckich, aczkolwiek nie wymieniony z imienia, wydaje się być zupełnie wyraźny, jak w wierszu pt. *Ex voto*. Votum to jest znak, który zawieszamy przed czymś Najświętszym, to jest symbol wierności, którą ślubujemy na zawsze.

*Wiem, że nie będziesz dla mnie niczym więcej,
Jak mgłą i snem,
A jednak — w ciszę tę księżycem złotą
Wyciągam ręce z bezbrzeżną tęsknotą
Za widmem twem...*

*Wiem, że nie będziesz dla mnie niczym więcej,
Jak mgłą i snem,
A jednak — w ciszę tę księżycem złotą
Własne me serce zawieszam ex voto
Przed widmem twem...*

Maryla Wolska ujawniła się jako poetka już od pierwszych dni objęcia w posiadanie „Zaświecia”. Stworzyła w tym domu swoisty salon literacki, który rychło stał się miejscem spotkań intelektualnej i artystycznej elity Lwowa. Jeden z bywalców tego domu, wybitny krytyk literacki Ostap Ortwin pisał o tym niezwykle miejscu pod lwowską cytadelą i o uroczej pani tego domu w nekrologu po jej śmierci w r. 1930:

„Ćwierć wieku temu Maryla Wolska należała do najściślejszego grona młodej [...] polskiej poezji na



Na zdjęciu weranda „Zaświecia”.
Na piętrze dwa okna Maryli Wolskiej

gruncie Lwowa. Gościnny jej dworek na Zaświeciu pod Cytadelą [...] stał zawsze na oścież otworem „dla obrazoburczej garstki młodych poetów. „Mieli oni tu oparcie towarzyskie po pracy i studiach, znajdując chwile rekreacji i umysłowej sjeisty w długich, swobodnych i beztroskich pogawędkach, okraszonych iskrzącym się żartem i dowcipem. „Pani na Zaświeciu” była niezrównanym ich kolegą-rówieśnikiem, towarzyszem i przyjaciółką, a wraz z matką swą, Wandą Młodnicką zawsze niezawodną opiekunką, pełną ludzkiej życzliwości i dobroci”.

Na „Zaświeciu” bywali obok Ortwina Edward Porębowicz, profesor romanistyki Uniwersytetu Lwowskiego i jednocześnie znakomity poeta, genialny tłumacz największych arcydzieł literatury zachodniej, zwłaszcza *Boskiej Komedii* Dantego, liryki prowansalskiej, poematów Byrona; Jan Kasprówic, stojący wówczas u szczytów swojej poezji jako twórca *Hymnów*; Stanisław Antoni Mouller, adwokat z zawodu i zarazem powieściopisarz; ale rdzeń towarzystwa stanowili młodzi poeci, którzy przybrali nazwę „Planetników”, przede wszystkim młodzieńcy jeszcze wówczas i dopiero debiutujący Leopold Staff, jego przyjaciel, również poeta Józef Ruffer, ze względu na swą niezwyklej dobroć nazywany w tym gronie półzartobliwym imieniem Santo Giuseppe, no i oczywiście Maryla Wolska. Właśnie w tym czasie zaczęły się pojawiać coraz częściej jej poetyckie tomiki: *Thème varié*, *Symfonia jesienna*, *Święto słońca*, *Z ogni kupałnych*.

Była to poezja bardzo prywatna, egotyczna, zamknięta w sobie, w wyrazie wyjątkowo subtelna i dyskretna i o wysokiej kulturze literackiej. Jej przewodnim wątkiem była świadomość niewspółmierności między marzeniem a spełnieniem. Czekamy na szczęście, które nigdy się nie zjawia w takim kształcie i wyrazie, jakich się pragnie. Towarzyszy nam jednocześnie nieustępliwy smutek, który wywołuje się z poczucia, że wszystko, co najbardziej bezcenne, skazane jest na przemijanie, a zarazem w perspektywie odchodzącej wciąż nieodwołalnie fali czasu nabiera szczególnego uroku i piękności, stając się przedmiotem tęsknoty. Źródłem pociechy i ocalenia staje się pamięć, która z nikłych śladów odbudowuje urokliwe obrazy chwil minionych lub zatopienie się w nieśmiertelnym pięknie wiecznie odradzającej się natury. Jest taki cykl poetycki Maryli Wolskiej *Nad dniem zwierciadeł*, zawierający jak gdyby jej program literacki, jej szczególną wrażliwość i pamięć światów, których już nie ma:

*Kocham czar wspomnień, smutny wdzięk dawności,
Woń starych dworów, pustki i lawendy,
Roztwory wielkich, szklanych drzwi — bez gości,
Myśl, że tak wiele przeszło życia tędy,
Życia co płynąc, jak dym się ulatnia —
I żem nie pierwsza tu i nie ostatnia...*

*I zdaje mi się, że w powietrza strudze,
Co przez pokoi płynie pustkę wonną,
Dech się czyjś ostał, jakieś szczęście cudze,
Żal czyjś tęsknotą gnany tu pozgonną,
Coś, co jak zapach uwiedłego kwiatu,
Miejsc się kochanych nie puszcza i trwa tu.*

Dom na „Zaświeciu” był główną kwaterą „Płanetników”. Ale latem całe towarzystwo wyjeżdżało też do Storożki i Perepelnik. W r. 1882, gdy okazało się, że 9-letnia wówczas Maryla Młodnicka zagrożona jest chorobą płuc, zaczęto jeździć dla zdrowia w miesiącach wakacyjnych do miejscowości Skole. Później ze skromnych oszczędności zakupiono niewielki grunt, na którym postawiono drewniany dom z werandą, nazywając go Storożką, od pobliskiej, dawnej strażnicy celnej. Dom stał na wzgórzu, z którego rozlegał się wspaniały widok na całą dolinę, rzekę i wieńiec gór. Miejsce to stało się przestrzenią wielokrotnych kontaktów poetki z pięknem natury i często powracającym motywem wielu jej wierszy. Z czasem do Storożki dołączyły Perepelniki. Majątek ten, w którym gospodarzył później jeden z synów poetki, odziedziczony został przez Wolskich po ich krewnych Pokutyńskich-Padlewskich. Był tam obszerny dom, typowy polski dwór ziemiański o tym szczególnym klimacie i uroku, na które składała się żywa wciąż pamięć wielu pokoleń, które w tych ścianach przemijały. Storożka i Perepelniki wielokrotnie wracały w wierszach Maryli Wolskiej zwłaszcza w latach późniejszych, oglądane z perspektywy kończącego się już zwolna życia. Jest taki wiersz *Opor pod Storożką*. Opor to rzeka przepływająca przez dolinę, ponad którą stał dom. Wspomnienie jakiegoś dalekiego, letniego dnia i samej siebie wówczas, małej dziewczy-

nki, o bosych, mokrych stopach, skwar południa i ta rwąca woda, wszystkie rzeki górskie są rwące. Wszystko to widziane z odległego czasu przez dojrzałą kobietę, w którą zamieniło się tamto dziecko. I to nagłe uczucie tęsknoty za tamtą chwilą, tak piękną, że chciałoby się, aby trwała wiecznie.

*Woda rwąca, zielona,
Zimny, śliski, migotliwy pęd.
Wyciągnięte na wietrze ramiona,
Ślady mokrych na kamieniach pięt...*

*Wertep, glina, dziewanny,
Kij, kapelusz na oczach, jak grzyb —
Na dnie wody zachłannej, przeszkłanej,
Cienie drobnych ślizgają się ryb.*

*Skwar, południe, pogoda,
Wspak we wodzie dwojący się las,
Taka rwąca, szumiąca ta woda.
Taki rwący, szumiący ten czas.*

*Słońce, niebo, murawa.
Bryzgi piany i glazy na dnie...
Czas cię splukał, godziną łaskawa,
Czemuż razem nie splukał i mnie?*

I drugi wiersz ze wspomnianego cyklu *Nad dniem zwierciadeł*. Stary dwór w Perepelnikach, oglądany w zwierciadle wspomnień, które odbija całe życie jakby na wspak, w odwrotnym, biegu.

*Jak wewnątrz znajomych przewrotne wykroje,
w zwierciadle mętnych odbite kwadratach,
Tak mi się jawi — opacznie — po latach,
Dziwne, przedziwne, własne życie moje...*

*Pamięci złota rama je obrzeża,
W taflach zaśnionych dwojąc półprzymiotnie
Świat, gdzie słuch zginął po tobie i po mnie —
Z ogrodu płynie woń pokosów świeża...
Czerwcowy, późny, słodki zmierzch, jak ongi...
Te same ciepłe, pachnące przeciągi,
Pokoje tylko mroczniejsze i pustsze...
Na dnie zwierciadeł, w mierzchnącym zarysie,
Ugasa wszystko... Życia majak śni się,
Prawda, odbita na wspak, w krzywym lustrze...*

Życie Maryli Wolskiej nie było łatwe. Jak każde życie ludzkie składało się z chwil radosnych i ze zdarzeń tragicznych. Jej małżeństwo było szczęśliwe. Wacław Wolski otoczył żonę i rodzinę dobrobytem człowieka wielkich interesów i choć w latach późniejszych w związku z katastrofą finansową i samobójstwem najbliższego przyjaciela i jednego z najwybitniejszych ludzi ówczesnej Galicji Stanisława Szczepanowskiego starał się bronić jego dobrego imienia oddając pokaźną część swego własnego majątku na spłacenie zobowiązań Zmarłego, rodzina Wolskich zachowała jednak względny dobrobyt. W domu rosło i rozwijało się wspaniale pięcioro pięknych i utalentowanych dzieci, trzech synów Ludwik, Kazimierz i Juliusz oraz dwie córki, Beata i Aniela. To szczęście rodzinne

zburzyła dopiero wojna. Była dla poetki przeżyciem strasznym. Żyjąc dotychczas w atmosferze bezpieczeństwa przerażona była ogromem zła choć dzielnie usiłowała stawiać czoło surowym wymaganiom czasu jako siostra miłosierdzia w szpitalach wojennych, w bezpośredniej pomocy środowiskom i osobom szczególnie dotkniętym katastrofą. Dramatyczność sytuacji pogłębiał lęk o dwu starszych synów, którzy walczyli na froncie. I z tej też strony miały przyjść na nią ciosy najokrutniejsze. Jej najstarszy syn Ludwik, wyjątkowo utalentowany, ujawniający odziedziczone po matce uzdolnienia literackie, został w r. 1919 po straszliwych torturach zamordowany w Perepelnikach przez nacjonalistów ukraińskich. Za tym ciosem najcięższym poszły następne, śmierć męża w r. 1922, w roku następnym matki, w 1926 najmłodszego syna Juliusza. „Skończyło się „Zaświecie” — pisała do jednej z przyjaciółek — jest już tylko cmentarz”. Reszta rodziny naturalną kolejną rzeczą odchodziła w świat. Jedyny pozostały przy życiu syn Kazimierz gospodarował w Perepelnikach, córki powychodziły za mąż. Beata za ziemianina Józefa Obertyńskiego, który ciężko borykał się z trudnościami w czasach powojennych nie łatwych dla ówczesnego ziemiaństwa. Najmłodsza Aniela, zwana Lelą w kręgu rodzinnym, wyszła za Michała Pawlikowskiego, poetę z tak zasłużonej dla kultury polskiej rodziny Pawlikowskich z przedprzemysłowej Medyki. Dziewczęta były jedyną pociechą matki, obie wybitnie uzdolnione. Beata Obertyńska jako poetka i prozatorska, w czasie drugiej wojny światowej wywieziona przez okupantów sowieckich do Kazachstanu, autorka wspomnień z tego wygnania *Z domu niewoli*. Lela Pawlikowska okazała się utalentowaną malarką.

Ostatnie lata Maryli Wolskiej zaznaczyły się w jej twórczości coraz głębszym jak gdyby zanurzaniem się w przeszłość, jedyną epokę, w której krótko czuła się szczęśliwą. Miała przeczucie zbliżającej się śmierci i pragnęła jej jak wyzwolenia. Uciekała myślami do najpiękniejszych swoich dni, ku szczytom skolskim, ku górcom, lasom i tamtej rzece spod Storozki. Wyrażała w swoich ostatnich utworach, nadzieję że tamten, drugi świat, który jest naszym przeznaczeniem, będzie podobny do tego, do którego tyle razy radośnie biegła jako mała dziewczynka, jako dorastająca dziewczyna i jako dojrzała kobieta.

*Nie wiem jaki tam będzie świat wtóry,
Jakie grzesznych radości ominą;
Moje niebo musi pachnąć świerczyną,
W moim niebie będą lasy i góry —
I rzeka tam szumieć powinna,
Ta jedna jedyna, ona,
Jak żadna inna
Zielona...*

Maryla Wolska zmarła 25 czerwca 1930 roku w domu na „Zaświeciu”. Pochowana została na cmentarzu Łyczakowskim, gdzie do dziś znajduje się wspólny grobowiec rodziny Młodnickich i Wolskich w formie obelisku z czarnego kamienia. Ulica Kalecza nosi obecnie nazwę Czajkowskiego. Dom jeszcze istnieje, w r. 1978 mieścił się tam ośrodek zdrowia dla pracowników Urzędu Bezpieczeństwa.

„Zaświecie”, jego dawni mieszkańcy i goście powinni jednak pozostać na zawsze w pamięci najdalejszych nawet polskich pokoleń jako jedna z piękniejszych kart historii i kultury Lwowa.

WITOLD SZOLGINIA

WIGILIA

*Tak mi si dziś marzy, że jestem we Lwowie:
Stoję w śniegu drzewa w Łyczakowskim Parku,
A ud Byrandynów ku Łyczakowowi
Sam Świetny Mikołaj kosz taska pudarków.*

*Lwów drzewami sy w śniegu, a na niebi w górze
Gwiazd świecu tysienicy i księżyc jak bania.
A ja pópud drzewkim do snu oczy mrużym
I tak mi je słodku — ni du wytrzymania...*

*Dzies ud Puhulanki szczeka jakiś skila,
Szczykani pu mrozi niesi si szyroku.
Tera z jakijś wieży gudzina wybila,
Idoncyh z Pasterki slychać tuput kroków.*

*Kulindników słyszym pośród nocnyj ciszy,
„Lulajzy Jezuniu...” płyni tyż z za ściany...
Szczykani, kulendy — dziś to wszystku słyszym,
Pud innu choinku siedzunc zadumany...*

*Te lwoski udgłosy, wspomnienia, marzenia...
W sercu mi si robi jakuś dzwoni mientku,
W garli coś mni ściska, jakiś w rencach drzenia,
Ta i si ruzklejam, tak o, pumalentku...*

*Ali za chwyleczki mocny ja ud nowa,
Bu Krzyś, wspomina junc com kiedyś bałakał,
Zapytuji raptym: „Tatu — a du Lwowa
Zabierzesz mni kiedyś, powidz — na pywniaka?”*

*„Ta pewni, że weznym, ty si nic ni kucaj;
Pukażym ci mniejsca, dzie si tatu chował.
Ali mi na razi kutiu tu ni rucaj,
Bu mogim za kary nie wzionść ci do Lwowa.*

*Tera cukiereczki puściongaj sy z drzewka,
Tak jak ja to robił kiedyś, tam, wy Lwowi;
Tylku najzy z tegu ma coś tagży Ewka,
Troszku dać tyż mnożysz mami i tatowi.*

*Nu a tera pójdzisz pud drzeweczko kimać,
Tylku si ni targuj — taż świentu jutru znów;
Nie krzyw mi si tagży, bu trza fasun trzymać,
I naj ci si przysni najdroższy Miastu Lwów...”*

ANDRZEJ CHLIPALSKI

Od Szkła do Kosowa

Tytuł tego odcinka wskazuje, że będziemy się dziś poruszać w szerokiej przestrzeni, geograficznej i tematycznej. Szkło leży blisko pojałtańskiego kordonu, a więc w zachodniej części interesującego nas obszaru Małopolski Wschodniej, jakże sztucznie odciętego, zaś Kosów na przeciwległym jego krańcu, tuż przy granicy Bukowiny, oderwanej od Rumunii. Między tymi punktami rozciąga się kraj obficie przez Boga obdarzony licznymi źródłami, z których cztery najważniejsze: Truskawiec, Lubień Wielki, Morszyn i Niemirów przypominaliśmy sobie w poprzednich odcinkach. Zajmijmy się więc z kolei tymi mniejszymi i mniej znanymi, choć dwie wymienione w tytule miejscowości cieszyły się — każda z innego powodu — zasłużoną sławą.

Szkło leży blisko Lwowa (40 km na pñ. zachód), przy linii kolejowej do Jaworowa. Teren jest zdrowy, piaszczysty, porośnięty lasami szpilkowymi, od północy osłonięty wzgórzami.

z prawdziwego zdarzenia (jak na ową epokę), niestety całkiem zdewastowany w I wojnie światowej. Pierwsze powojenne lata Państwa Polskiego, zaczynające się od podstaw swoje gospodarowanie, nie pozwoliły od razu na zajęcie się zdrojowiskiem (które przeszło tymczasem na własność Skarbu Państwa). Jednak niezwykle obfitość tryskających tu wód siarczanych (źródło „Główne” dawało 1 milion litrów dziennie) zwróciła uwagę na to niewykorzystane bogactwo. Uruchomiono więc przede wszystkim zakład zdrojowy, przystąpiono do budowy infrastruktury (wodociąg, kanalizacja), dalszej rozbudowy łaźni siarczanych i borowinowych. Odbudowano, bądź odnowiono pensjonaty, Ubezpieczalnia Społeczna urządziła tu swą lecznicę, wzniesiono dom leczniczy dla dzieci urzędników państwowych. W planie była szeroko zakrojona rozbudowa uzdrowiska, na przeszkodzie jednak tym sensownym zamiarom stanęła II wojna i jej katastrofalne następstwa, które z jednej



Kaplica Zdrojowa w Szkle

Zdrój to prastary — jeden z sześciu, które w XVI wieku wymienił Wojciech Oczko. Leczyli się tutaj Władysław IV i Jan III Sobieski (z ulubionego Jaworowa miał dwa kroki). W XIX wieku właścicielami majątku byli Jan Konopka i Ewaryst Goszczyński, którzy założyli tu zakład kąpielowy

strony zatrzymały rozwój tej ziemi na całe półwiecze (a zanosi się że na jeszcze dłużej), z drugiej strony doprowadziły do karykaturalnych przedsięwzięć, niszczących bezpowrotnie przyrodzone bogactwo.

Oferta Szkła, to hipotoniczna siarczanka gipsowa (źródło „Główne”) oraz hipotoniczna siarczanka ze

znaczną domieszką alkali (źródło „Alkaliczne”). Pierwszą używano do kąpiei, drugą do kuracji pitnych. Była też dobra borowina. Stosowano ponadto kąpiele „ultrapotasowe”, które przygotowywano z wody siarczanej z dodatkiem soli potasowych i naświetlanej promieniami ultrafioletowymi i infraczerwonymi.

Co leczono w Szkle? Gościec stawowy i mięśniowy, dnę, ischias, schorzenia skórne, dolegliwości kobiece. Było to uzdrowisko idealne do leczniczego wypoczynku: niewielkie, położone w łagodnym krajobrazie, z zabudową o charakterze dworowym wśród pięknego starodrzewu. Obrazu dopełniało spokojne życie kulturalne: koncerty z płyt, odczyty, biblioteka z czytelnią, spacerować m.in. do źródła „Siwej Wody” (siarczanej), która mieniła się różnokolorowymi barwami – unikat w Europie. Celem wycieczek był pobliski Jaworów z zamkiem Sobieskiego i pięknym kościołem, ruiny z wałami i fosami w Starzyskach, kościół w Bruchnału, a także nieodległy Niemirow-Zdrój. Warto przypomnieć, że w pobliżu Szkle były źródła wspaniałej wody w Woli Dobrostańskiej, przesyłanej rurociągami do Lwowa i cieszącej się zasłużoną sławą najlepszej wody pitnej wśród wielkich miast Polski. Co z tego zostało po 50 latach, które minęły „wyzwolenia z pod pańskiej Polski”? Woda w kranach przez godzinę dziennie i trochę dłużej w nocy.

* * *

Wody siarczane występują także po południowej stronie Lwowa. Poza omawianymi już Truskawcem i Lubieniem, w niedalekich Pustomytach: był tam niewielki zakład kąpielowy, eksploatowano też borwinę. W okolicach Bóbrki: Brzozdowce, małe miasteczko blisko linii kolejowej Lwów-Stanisławów (stacja Borynicze). Nie było tam żadnych urządzeń zdrojowiskowych. Podobnie w pobliskim Kniesiole (woda siarczana-żelazista). Natomiast używano do celów leczniczych wodę siarczaną z zawartością magnezu i żelaza, a także doskonałą borwinę w Nowosielskach Szlacheckich, położonych bliżej Żurawna. Już w 1910 r. zbudowano tam zakład kąpielowy i domy dla kuracjuszy, założono park.

W Karpatach wody siarczane występowały w Podlutom (pow. Dolina), a siarczano-słone w Słobodzie Rungurskiej (pow. Peczeniżyn, 600 m npm). Obie miejscowości były znane raczej jako letniska, brak było urządzeń zdrojowiskowych.

Solanki występowały na dużym solonośnym obszarze podkarpackim, głównie od Stryja ku zachodowi. Był tu więc i bliski Stryja Morszyn, i położony nieopodal stolicy soli wschodniomałopolskiej Drohobycz – Truskawiec, omówione w poprzednich odcinkach. Jednak najdalej na wschodzie pojawiła się solanka w Kosowie, o którym będzie mowa na końcu tego odcinka, we wspomnianej już Słobodzie Rungurskiej (siarczano-słona), a wysokoprocentowa solanka w Delatynie.

Delatyn był miasteczkiem w powiecie nadwórniańskim, nad Prutem, pięknie położony wśród gór i lasów (450 m npm). Pierwsze łaźienki zbudowano tu już w r. 1910, a solanką leczono reumatyzm i poraże-

nia, choroby kobiece, nerek i wątroby, choroby serca i naczyniowe, górne drogi oddechowe. Był hotel i kwatery w domach prywatnych, brakowało jednak szczególnych wygód, tak iż klientelę stanowili tu głównie goście dojeżdżający na kąpiele z innych letnisk doliny Prutu (Jaremcze, Dora, Mikuliczyn, Tatarów, Worochta). W latach 1930-tych solankę delatyńską poprowadzono rurociągiem aż do Jaremcza – ale o tym już przy omawianiu letnisk Doliny Prutu.

Źródła solankowe spotykano w powiecie bohorodczańskim: w Staruni Rosulnej, jednak nie eksploatowane. Wydajne, na skalę przemysłową wykorzystywane źródła solankowe tryskały w Stebniku koło Drohobycza, a więc w samym centrum solonośnych obszarów Małopolski Wschodniej. Działała tam wielka warzelnia soli, a niejako na marginesie funkcjonowały łaźienki lecznicze. Idąc dalej ku zachodowi mamy kilka miejscowości w rejonie Dobromiła (Stara Sól, Huczko). Solankę wykorzystywano tam również do celów przemysłowych, nie było urządzeń leczniczych, tym niemniej letnicy z pobliskich miast, Przemyśla i Sambora, używali jej do celów zdrowotnych.

Trzeci rodzaj wód, spotykanych w Małopolsce Wschodniej, to szczawa, która poza Truskawcem (niezwykła „Naftusia”) występowała w Burkucie.



BURKUT

Jest to przysiółek wsi Hryniawa, w powiecie kosowskim, zagubiony w górach Czarnohory i bezkresnych iglastych lasach, nad górnym Czeremoszem, na wysokości 1012 m npm, z którą może konkurować tylko najwyższa część Zakopanego, Kuźnice. Owo „zagubienie” wśród gór i lasów nie jest określeniem retorycznym – do najbliższej stacji kolejowej w Wyżnicy (ale po stornie bukowińskiej) było 40 km, do Worochty 64 km. Na bazie źródeł szczawy alkaliczno-wapieniowej zbudowano tu z początkiem bieżącego wieku łaźienki, wille, były urządzenia sportowe i biblioteka. Leczono niedokrewność, choroby narządów trawiennych i przemiany materii, choroby płuc i nerwowe, odbywano rekonwalescencję. Skończyło się to niestety z I wojną światową, ponieważ wszystkie zabudowania uległy doszczętnemu zburzeniu, i mimo wielkiej wartości tego miejsca – trzeba dodać niezwykle zalety górskiego powietrza i klimatu, oraz inne, nie eksploatowane wcześniej źródła

— nie podniosły się w okresie międzywojennego 20-lecia, głównie przez trudności komunikacyjno-transportowe. One też sprawiały, że butelkowanie wody mineralnej nie mogło się szerzej rozwinąć.

O drugim niezwykle zdrowisku wschodniomałopolskim, którego kariera została gwałtownie przerwana, opowiemy w następnym odcinku, ponieważ zasługuje ono na szerokie i wszechstronne omówienie. Dziś pozostaje nam jeszcze wspomniany w tytule:

KOSÓW. Trzeba odrazu powiedzieć, że nie źródła solankowe, nie piękne kąpielisko rzeczne, a nawet wspaniałe walory krajobrazowe i klimatyczne, były powodem sławy tego miasteczka, odległego o 37 km na południe od Kołomyi i leżącego blisko granicy rumuńskiej (Bukowiny). Położone wśród pięknych gór, na wys. 415 m n.p.m., osłonięte przez nie od wiatrów, nad rzeczką Rybnicą (dopływem Czeremoszu), ma dużo słońca, mało opadów, wysoką temperaturę. Raj na ziemi.

Tytułem do ogólnopolskiej sławy Kosowa był niezwykle zakład leczniczy legendarnego doktora Apolinarego Tarnawskiego, usytuowany w istocie we wsi Smodna (nad tą samą Rybnicą), odległej o 2 km od centrum miasteczka. Został założony w ostatnich latach XIX wieku — a więc niemal 100 lat temu — wedle koncepcji, którą i dziś uznalibyśmy za nowoczesną. Był to bowiem zakład o charakterze przyrodoleczniczym, z naciskiem na kinezyterapię (terapię ruchem), odpowiednie odżywianie, higieniczny tryb życia. Metody te były stosowane zarówno w celach profilaktycznych, jak i ogólnorehabilitacyjnych. Leczone więc najrozmaitsze cierpienia i niedomagania, a także wzmacnianie ludzi wątłych, słabowitych, rekonwalescentów, oduczano nałogów.

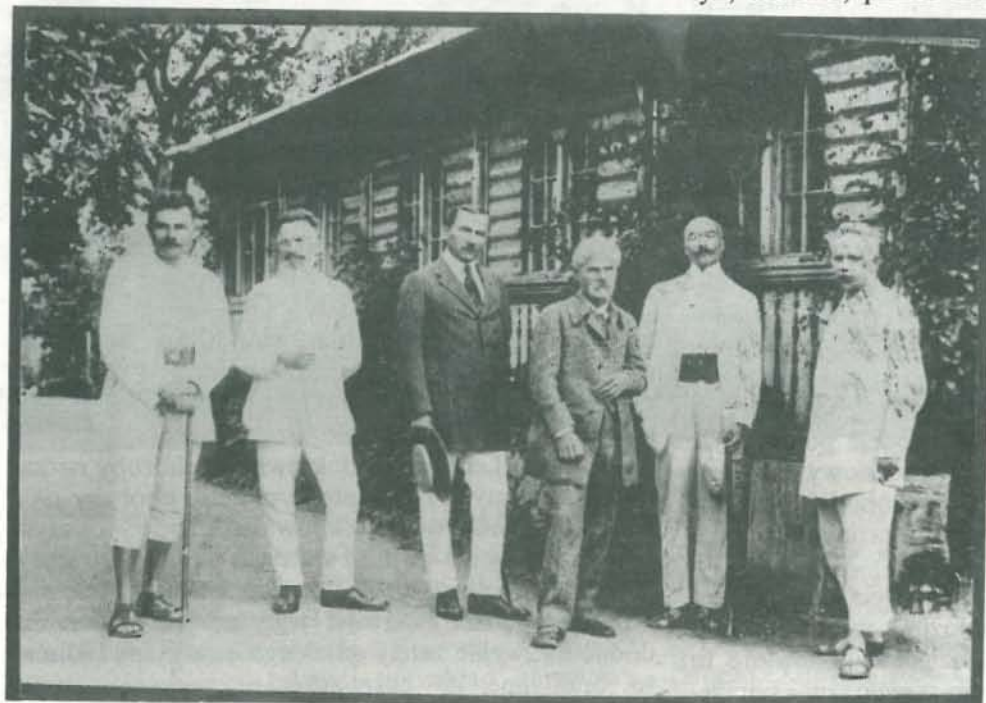
Kuracjusze mieszkali w 14 stylowych, na ogół drewnianych pawilonach-dworkach, zawierających

w sumie 90 pokoi, a mieściły jednorazowo 100-120 osób. Warto zaznaczyć, że pobyt tam nie należał do tanich. W zależności od kategorii płacono w sezonie letnim 11 lub 13 zł dziennie od osoby, w sezonie wiosennym oraz jesiennym odpowiednio 8-10 zł, ale ceny te obejmowały poza mieszkaniem i wiktem, również wszelkie rodzaje zabiegów. Dodatkową opłatę pobierano jedynie za badania wstępne i końcowe — 20 zł i tyle samo jako takse zakładową.

Metoda dra Tarnawskiego polegała na kilku czynnikach: przebywanie na świeżym powietrzu przez całą dobę (spanie przy otwartych oknach), dieta jarska (warzywa i owoce z własnych ogrodów i sadu), gimnastyka i wycieczki, kąpiele słoneczne, leczenie wodą metodą ks. Kneippa, rozrywki, zapewniające pogodę ducha. Kuracja trwała 4-6 tygodni.

W zakładzie panował ostry reżim, dr Tarnawski wymagał bezwzględnej subordynacji ze strony kuracjuszy w poddawaniu się zaordynowanym przezeń zabiegom oraz trybowi życia w zakładzie. W związku z tym krążyło mnóstwo anegdot i dowcipów o lecznicy i jej srogim dyrektorze. Opowiadano złośliwie, że po nastaniu ciszy nocnej kuracjusze udawali się po kryjomu do knajpy w miasteczku, gdzie spędzali długie godziny w sposób dość rozbieżny z zasadami, obowiązującymi w zakładzie, szczególnie w kwestii diety oraz wstrzemięźliwości od palenia i picia. Ale czy to prawda? Może ktoś z byłych tam Czytelników napisze na ten temat?

Tuż przed II wojną sędziwego ojca zastąpił syn — dr Wit Tarnawski. Po wybuchu wojny cała rodzina wyjechała do Rumunii, a dalej przez Cypr, Palestynę (gdzie w 1943 r. zmarł dr Apolinary) i Egipt, do Anglii. dr Wit Tarnawski pracował tam jako lekarz, ale równocześnie — kontynuując swoje przedwojenne hobby — dał się poznać jako wybitny badacz literatury (znakomity znawca Conrada), krytyk, tłumacz, pisarz. Zmarł w latach 1970-tych.



Goście w Zakładzie
dr Tarnawskiego, rok 1910.

Od lewej:
prof. Ignacy Chrzanowski,
NN,
Roman Dmowski,
dr Apolinary Tarnawski,
prof. Jan Rozwadowski,
NN.

(ze zbiorów p. Celiny Tarnawskiej-
Busza — Londyn)

WIKTOR DZIULIKOWSKI

Lwowscy kominiarze

Giną dobre obyczaje — do takich należało zjawienie się kominiarza z życzeniami Świątecznymi i Noworocznymi wraz z nowym kalendarzem. Szkoda, że stara tradycja ginie a na pocieszenie zostaje nam tylko złapać się za guzik. Materiały opracowane przez autora pochodzą od lwowskiego mistrza Kominiarskiego z Legnicy p. Zbigniewa Druszkiewicza, który w imieniu Korporacji Kominiarzy Polskich składa tą drogą Wszystkim Czytelnikom SF najlepsze i najserdeczniejsze życzenia Świąteczne i Noworoczne.

Zajrzyjmy wobec tego do unikatowego oprawnego tomu zebranych egzemplarzy Kominiarza Polskiego za rok 1937, 1938 i 1938.

Z dosyć bogatej historii Korporacji Lwowskich kominiarzy, pragnę przypomnieć kilka fragmentów.

— W roku jubileuszu 75-tej Roczniczy Odzyskania Niepodległości podaję mało znane fakty z udziału lwowskich kominiarzy w walkach o Niepodległość. Brali czynny udział w wielu lwowskich organizacjach patriotycznych, m.in. w Mieszczańskim Towarzystwie Strzeleckim, w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”, w Legionach Piłsudskiego, w Drużynach Bartoszewych, w Związku Walki Czynnej, i w Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). Dowodem uznania tej działalności jest przyznanie wielu orderów, krzyży i medali. Po I-ej Wojnie Światowej



Ppor. Rudolf de Magocsy



nadal prowadzili obywatelską służbę w organizacjach społecznych, m.in. w Związku Obrońców Lwowa, Obrońców Kresów Wschodnich i w Towarzystwie Strzeleckim.

— Wkrótce (3 lutego 1994) minie setna rocznica śmierci ppor. Rudolfa de Magocsy — kominiarza powstańca r. 1863/4. Polak, szlachcic węgierski z pochodzenia, urodzony w Brodach w 1846 r., brał czynny udział w wielu walkach w Powstaniu Styczniowym, pod Hutą Krzeszowską, Biłgorajem, Żyżnem, Poryckiem, ciężko ranny pod Kobylanką. Pochowany został we Lwowie na Cmentarzu Janowskim. W 75-ą Rocznicę Powstania Styczniowego został uznany uchwałą Korporacji Przemysłowców Kominiarskich na Wodza Duchowego (Patrona) Lwowskiej Korporacji.

* * *

— Ponieważ istnieje, choć już coraz rzadziej praktykowany zwyczaj składania przez kominiarzy, życzeń świątecznych i noworocznych przeto z najlepszymi życzeniami załączam wierszyk ułożony przez nieznanego kominiarza, kryjącego się pod literami B. S.

*Choć śnieg z deszczem w oczy bije,
Choć wiatr mroźny tnie po twarzy,
Każdy w ciepły kąt się kryje,
oprócz jednych kominiarzy.*

*Latem znowu rzecz się zmienia,
nieraz słońce tak dopieka,
Że człek mdleje ze zmęczenia,
Każdy sobie w chłodzie śpi,
A my na dachu „chijor! chi!”.*

PUKAWKA

Podobnie, jak na innych dzielnicach Lwowa, tak i na rodzinnym Łyczakowie roilo się od podwórkowych drużyn piłkarskich, noszących dumne nazwy Białych Orłów, Pogoni, Czarnych, Lechii itp. Jedną z takich drużyn zasługuje na szczególną uwagę. Była nią „Pukawka”, ściślej — „K.S. Pukawka”, istniejący na początku górnego Łyczakowa w latach 1940–1945. Nazwa — Klub Sportowy — była na wyrost, ponieważ formalnie taki klub nie istniał, aczkolwiek luźno łączył ponad kilkadziesiąt dzieci i młodzieży. Dokładniej ewidencji nie było, bo nie było też formalnych zapisów.

Jak każda szanująca się drużyna piłkarska, tak i Pukawka miała swoje boisko. Mieściło się ono na nieczynnym wyrobisku piasku, zamienionym z czasem na wysypisko śmieci, leżącym pomiędzy ulicami Krupiańską, Orląt i Mączną. Było to wgłębienie w kształcie niecki zwane też z lwowska debrą, leżące na osi wschód-zachód, równoległe do ulicy Łyczakowskiej. Z trzech jego stron — od ulicy Mącznej, Krupiańskiej i częściowo Orląt — niecka była otoczona kilkumetrowymi zboczami i tylko od Orląt była otwarta po dawnym wjeździe i wyjeździe. Z czasem zbocza zamieniały się na naturalne trybuny. Wystarczyło bowiem pokopać trochę łopatą lub łopatką by



Na trybunie siedzą: Antoni Podłowski z przyszłą żoną Danutą oraz Józef Piotrowski (Joe)

uzyskać miejsce do siedzenia. Więcej trudu wymagało przygotowanie płyty boiska. W miarę korzystania z niego następowało jego oczyszczanie ze starych wiader i garnków, kawałków cegieł i najrozmaitszych śmieci. Nierówności samej płyty boiskowej niwelowano ścinając wypukłości oraz zasypując dziury. Z upływem czasu teren coraz bardziej przypominał małe, niewymiarowe boisko. Za bramki służyły słupy żelbetonowe przyciągnięte z jakiegoś zrujnowanego ogrodzenia.

Do boiska „Pukawki” dochodziło się od ulicy



Pod bramką siedzi Autor

Łyczakowskiej skręcając w lewo przed kapliczką w ulicę Krupiańską, znaną z tego, że mieszkał na niej Tońcio Tytyłyta z Wesołej Lwowskiej Fali czyli dr praw Henryk Vogelfänger. Idąc nieco pod górę mijało się jej zakręt w prawo i wychodziło na wolną od domów przestrzeń. Na wprost droga prowadziła na Kajzerwald. Skręcając nieco w prawo odsłaniał się skraj niecki boiska „Pukawki”. W kierunku wschodnim widniała wieża kościoła Matki Boskiej Ostrobramskiej i czuby drzewa Parku Łyczakowskiego. Od południa widać było (tylne) ściany budynków przy ulicy Krupiańskiej. Na ich balkonach zbierali się czasem widzowie.

Na czym polegała wyjątkowość „Pukawki”? Przede wszystkim była jej masowość. Drużyny podwórkowe zazwyczaj obejmowały uczestników z jednego lub dwóch podwórek, a więc liczyły kilkunastu, zwykle podobnego wieku, chłopców. „Pukawka” skupiała kilkadziesiąt chłopców i dziewcząt różnego wieku, pochodzenia, upodobań, a nawet narodowości. Na „stadionie” „Pukawki” gromadziło się coraz więcej dzieci i młodzieży, przyznających się do przynależności do Klubu. — od kilkulatków do dwudziestoparoletnich młodzieńców. Na ulicy można było dość często usłyszeć jakiegoś brzdąca, który dumnie wypinając brzuszek mówił;

— Plosę pana, ja też jestem z „Pukawki”! —

Ilu malców było sympatykami, czy też uznawało się za członków „Pukawki”, można było przekonać się z okazji meczów I drużyny „Pukawki”. W drodze na mecz otaczał nas tłum brzdąców, w tym nawet niemowlaków w wózkach. Malcy walczyli między sobą o zaszczyt niesienia futbolówek starszego zawodnika. W trakcie zaś meczu całe towarzystwo darło się, jakby ich ktoś obdzierał ze skóry —

— „Pukawka”, tempo!!! — „Pukawka”... gola !!
Wrzaskom towarzyszyły dźwięki różnych instru-

mentów dziecinnych trąbek, piaszczałek i małych bębenków. Nic dziwnego że odgłosy meczu były daleko słyszalne i roznosiły się po Łyczakowie.

Ponieważ na Pukawce gromadziła się także dzieciarnia, dlatego pełniła ona z konieczności także funkcję opieki przedszkolnej. Zawziętą nieraz dyskusję młodzieńców przerywały nieraz prośby malców.

— Płosę mi naprawić wózek —

Mały berbecz prosił o pomoc przy naprawie wózka, na którym siedział młodszy braciszek lub siostrzyczka. W wózku oderwało się kółko. Jak odmówić takiej prośbie młodszego kolegi klubowego?

— Płosę pana, un si bije —

W tym wypadku należało interweniować w charakterze rozjemcy. Na odgłos płaczu lub na widok bijatyki malców starsi klubowicze odpowiednio reagowali. Nic dziwnego, że coraz więcej dzieciarni gromadziło się, a ich rodzice byli przekonani, że na „Pukawce” nic złego im się nie stanie.

Z czasem zaczęły obowiązywać, wprowadzić niepisane, ale określone prawa i obowiązki. Ponieważ teren był otwarty, to wolno było na nim przebywać bez obowiązku tłumaczenia się lub proszenia kogokolwiek o zgodę. Do obowiązku należało jednakże uczestnictwo w oczyszczaniu boiska oraz odpowiednie zachowywanie się, w tym nieużywanie niecenzuralnych słów. Nikogo nie pytano skąd przychodzi, ile ma lat, jakiej jest narodowości lub religii. Wśród korzystających z Pukawki byli nie tylko Polacy, lecz również Ukraińcy i Żydzi. Ważne bowiem było zachowanie się i sportowe uzdolnienia. Boisko było czynne od rana do wieczora, jeżeli tylko dopisywała pogoda. Piłka nożna nie była jedyną grą. Grywano również w siatkówkę, w dwa ognie, szachy, warcaby, karty, krepce, kiczki czyli klipę, scyzoryki itp, a więc dla każdego coś miłego i zgodnie z upodobaniem. Jeżeli chodzi o piłkę nożną, to potworzyły się różne zespoły od trampkarzy, przez młodszych i starszych juniorów aż do II i I drużyn. W różnych porach dnia można było obserwować grupki dzieci i młodzieży zajętych zabawami lub rozmowami. W zabawach brali udział nie tylko chłopcy, lecz również i dziewczęta, które zorganizowały różne sekcje sportowe, głównie siatkówki.

Czas wyjaśnić skąd się wzięła nazwa „Pukawki”. Trudno teraz ustalić dokładną datę. Było to gdzieś w 1940 roku, kiedy „Pukawka” powiększyła się znacznie, grupa starszych zaczęła się zastanawiać, czy nie należałoby przyjąć jakieś nazwy. Z ulicznych propozycji najwięcej głosów uzyskała — Pukawka”. Przed wojną taką nazwę nosiła popularna zabawka drewniana, sprzedawana nie tylko w sklepach z zabawkami, lecz także przez krążących po domach wytwórców drewnianych łyżek, kołotuszek czyli kołatek, i różnych zabawek np. motyli na kółkach, czy pajacyków zabawnie wywracających koziołki. Pukawka działała na zasadzie pompki, na której z jednego końca umocowany był na sznureczku korek. Po zamknięciu nim otworu tłoczone powietrze wypychało z hukiem korek. Od puknięcia korka wzięła się nazwa zabawki. Nawet ktoś zrobił z kartofla pieczętkę z podobizną pukawki. Tworzywo okazało się bardzo nietrwałe, ale nie było potrzeby posługiwania

się taką lub podobną pieczętką. Sama jednakże nazwa szybko się przyjęła i rozpowszechniła. Utrwaliły ją liczne zwycięskie mecze w piłkę nożną.

Pukawka zasłynęła na Łyczakowie jako niezwyciężona drużyna, bezapelacyjnie rozprawiająca się nie tylko z różnymi drużynami podwórkowymi, lecz również z niektórymi zrzeszonymi. Mecze z drużynami nie zrzeszonymi rozgrywano na własnym boisku lub na Kajzerwaldzie, natomiast z drużynami zrzeszonymi — na boisku dawnego Sokoła Macierzy koło Parku Łyczakowskiego czyli Bartosza Głowackiego. W okresie sowieckim to boisko należało do Spartaka. O sile Pukawki decydowali jej wiekowo najstarsi gracze, będący juniorami lub seniorami różnych drużyn z okresu przedwojennego. Dzięki powiązaniu z aktualnymi drużynami jak „Spartak” czy „Dynamo”, można było korzystać z ich sprzętu i boisk. Oprócz „seniorów” Pukawki jej sławę ugruntowywało kilka młodszych drużyn.

Na „Pukawce” grywało się głównie starymi i mocno sfatygowanymi piłkami o kształcie odbiegającym od kuli, a często przypominającym piłkę do rugby. Było to następstwem pęknięcia szwów płaszcza piłki i wydostawania się dętki, która łatwo ulegała w tej sytuacji przedziurawieniu. Pęknięcie piłki oznaczało zakończenie meczu budząc powszechną rozpacz graczy. Dobrze piłki rzadko widywało się na boisku Pukawki, częściej jej odmiany o różnych kształtach. Nieraz piłkę zastępowały różnego rodzaju szmacianki, a w najgorszym wypadku puszki po konserwach, które z zapalem były kopane przez najmłodszych klubowiczów.

Mecze rozgrywane przez I drużynę Pukawki zgodnie z obowiązującymi przepisami odbywały się stosunkowo rzadko. Na codzień dzieciarnia kierowała się odmiennymi przepisami, a raczej umowami. Grywano umawiając się na wstępie do liczby 6, 12 a nawet 24 goli. Zazwyczaj nie było sędziego, to też mecz bywał przerywany zażartymi dyskusjami, szczególnie na temat strzelania bramki, gdyż bramkę stanowiły same tylko słupy bez poprzeczki. Również otwartą była sprawa wymiany graczy podczas meczu. Kogoś wezwano na obiad, inny musiał opuścić boisko z przyczyn fizjologicznych. W takich i podobnych sytuacjach wprowadzany był do gry ktoś z grona kibiców, często czekających na taką okazję. Tak więc końcowy skład mógł znacznie odbiegać od składu na początku meczu.

Po prawie pół wieku trudno wymienić nazwiska czołowych graczy „Pukawki” w piłkę nożną. W różnych bowiem okresach skład I drużyny był zmienny i uwarunkowany różnymi czynnikami i sytuacjami. W historii Pukawki można wyróżnić trzy etapy; 1) od 1940-1941 (tzw. pierwsi sowieci), 2) 1941-1944 (okupacja niemiecka) i 3) od 1944-1945 (drudzy sowieci). W każdym z tych okresów dominowały inne czynniki, jak wywózki i pobór do Czerwonej Armii w roku 1941, aresztowania w okresie okupacji niemieckiej oraz pobór do Wojska Polskiego w trzecim okresie. W tych ciężkich i trudnych czasach pełnych najrozmaitszych zagrożeń i niebezpieczeństw spotkania na boisku Pukawki, jako chwile beztroskiej zabawy, stanowiły słoneczną odskocznnię od mroków

dnia codziennego. Niedostatki w wyżywieniu wpływały zapewne negatywnie na wyniki sportowe, ale nie pozbywały chęci do zabawy. Gromadzenie się dzieci i młodzieży musiały z pewnością zwracać uwagę odpowiednich czynników, a wśród zaliczających się do „Pukawki” byli zapewne i konfidenti. Nikt jednak nie starał się ich demaskować, choć z ich obecności zdawaliśmy sobie sprawę. Otwarta działalność stanowiła ochronny parasol, pod którym toczyła się nie tylko działalność sportowa.

Do najstarszych wiekowo i stażem sportowym oraz założycieli Pukawki należeli: Antoni Podłowski, Jerzy Krzyżanowski, Jarosław Mykitka, Józef i Adam Piotrowscy, Mieczysław Port, Tadeusz Ostaszewski, Zbigniew Wojtarowicz, Adam Zwoliński, bracia Wołoszynowie, Tolek Palej oraz piszący te wspomnienia. Byliśmy mniej więcej rówieśnikami. Część była po



Grupa Pukawianów z Pukawiankami

maturze, inni po klasach licealnych, a niektórzy już studiowali. W okresie okupacji niemieckiej większość pracowała jako robotnicy.

Używane były głównie imiona, rzadziej przydomki z racji charakterystycznych cech fizycznych. Na przykład, Jurek K. był zwany Rudym z racji piegów i lekko rudawych włosów. Mieszkał w domu przy ulicy Piotra, bodaj pod numerem 8, w którym mieszkał też jego kuzyn — Sławek Mykitka, którego charakteryzował niski wzrost i krępa budowa ciała. Z racji wzrostu cierpiał na kompleks Napoleona, który stał się pokryć zadziornością i skorością do zwady. Jako kolega był wspaniały — bardzo uczynny i koleżeński. W trakcie koleżeńskiego sparringu bokserskiego starałem się unikać zwać, bo dzięki mniejszemu wzrostowi i krótszym rękom dopadał i obrabiał mi żołądek. Odwdzięczałem jemu trzymając go na odległość prostymi, czym mocno go denerowałem. Sławek grywał na pozycji pomocnika lub obrońcy. Miał poważne zasługi w organizowaniu życia na Pukawce. Był m.in. projektodawcą nazwy „Pukawka”, był nielicznym posiadaczem piłki nożnej a nawet butów piłkarskich. Partnerem obydwóch bywał Tadek Ostaszewski, który nadawał się na tę pozycję dzięki silnej i krępej budowie ciała.

Na pomocy grywali bracia Piotrowscy — Józek czyli Joe i Adam. Józek namiętnie zajmował się fotografią i wszystkie pamiątki z życia Pukawki pochodzą od niego. Po wojnie osiedlił się w Jeleniej

Górze, brat Adam został zabrany w roku 1941 do Czerwonej Armii i słuch o nim zaginął.

Na tej samej pozycji grywał Tosiek Podłowski, zabrany w roku 1944 do Armii Polskiej, z którą podszedł pod Warszawę, gdzie utracił nogę. W jego mieszkaniu odbywały się potańcówki przy patefonie i posiedzenie tzw. Kapituły.

W ataku brylował Zbyszek Wojtarowicz, zwany krótko Byniem. Średniego wzrostu smagły brunecik był lubiany przez ogół Pukawianów i Pukawianek. Bardzo wesoły, sypiący żarcikami, znany był z angielskiego powitania — „How do you do” — Zazwyczaj zaskakiwał tym osobę przez niego witaną. Początkowo i my nie wiedzieliśmy, co te słowa znaczą, bo język angielski w owych czasach nie był naszym ulubionym językiem obcym. Podejrzewaliśmy, że i dla Bynia na tym kończy się wogóle jego znajomość angielskiego. Na wiosnę 1941 roku został zabrany do Czerwonej Armii (rocznik 1919) i dopiero po paru latach doszły do nas wiadomości od niego, zapisane na korze brzozonej sokiem roślinnym z dalekiej Wschodniej Syberii.

Wypada powiedzieć też o sobie parę słów. Mieszkałem na rogu Paulinów przy ulicy Łyczakowskiej 97, naprzeciwko gmachu Sokoła IV i rezerwowego szwadronu 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. W roku 1939 ukończyłem Liceum VIII Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego przy ulicy Dwernickiego. Na koronnej pozycji tzn. na bramce grałem przed wojną w II Sokole (liga okręgowa), w latach 1940-1941 w studenckim klubie „Nauka” Uniwersytetu Lwowskiego, a w latach 1944-1945 w Spartaku. Wołano mnie Siachu, jako skrócenie imienia Stanisław.

Warto choć parę słów poświęcić sympatykom Pukawki. Było ich sporo, co dawało się zauważyć podczas meczów I drużyny. Ale nie tylko mecze ściągały sympatyków, lecz również i zwykłe rozmowy oraz dyskusje na różne tematy. Pół wieku zatarło w pamięci wiele nazwisk i dlatego ograniczę się do tylko paru przykładów. Przede wszystkim należy wymienić prezesa Pukawki — Stefana Babeckiego, nazywanego krótko Stefkim. Był wśród nas najstarszym i cieszył się naszym szacunkiem nie tylko z racji wieku, lecz jako zrównoważony i mądry kolega, u którego można się było poradzić z różnych okazji. Z zawodu był artystą malarzem, po ukończonej podchorążówce. Ten ostatni fakt szczególnie podnosił go w naszych oczach, gdyż w najlepszym przypadku byliśmy po Przysposobieniu Wojskowym i liceach.

Typowym sympatykiem, mieszkającym obecnie we Wrocławiu, był Bronisław Baczyński, Broniu. Był nawet starszy od Stefka i wytrwale studiował chemię na uniwersytecie. Waciu był brunetem, średniego wzrostu. Znany był z tego, że wciąż nucił modne francuskie piosenki. Zmarł podczas wojny.

Stosunkowo liczne grono stanowiły dziewczęta. Były to przeważnie siostry lub sympatie chłopców z Pukawki. W dwóch wypadkach znajomości zostały uwieńczone małżeństwami. We Wrocławiu mieszkają państwo Mieczysława i Adam Zwolińscy. Innym przykładem byli państwo Danuta i Antoni Podłowsky. Dziewczyny były nie tylko sympatykami Pukawki, lecz także jej czynnymi uczestniczkami. Grywały

w siatkówkę i spełniały często funkcje opiekunek najmłodszych Pukawianów.

Znaczna liczba stale rosnących Pukawianów i Pukawianek zmusiła do stworzenia kierownictwa, albo przynajmniej wrażenia, że takie kierownictwo istnieje. Tak doszło do powołania Kapituły, na czele której stanął jej projektodawca — Stefek. Do niedawna pętało się mi po szufladach pierwsze zawiadomienie o zebraniu Kapituły, którego twórcą był Stefek. Wymienienie Stefka jako twórcy miało swoje uzasadnienie, gdyż była to mała perełka malarska. W podwójnie złożonym kartoniku, wielkości kartki pocztowej było wycięte okrągłe okienko, przez które widoczny był dzwonek. Po otwarciu kartonika pojawiał się okrutnie chudy dzwonnik, ciągnący za sznur dzwonu. Obok widniał tekst zaproszenia informujący, że w dniu takim a takim, o godzinie takiej a takiej, opat zaprasza grono pobożnych i przeznacznych braci na naradę poświęconą losom Pukawki. Rzecz oczywista, że po prostu chodziło o zebranie kilku najstarszych Pukawianów o charakterze czysto towarzyskim. Tym niemniej młodsi Pukawianie byli przekonani o wielkiej powadze i znaczeniu posiedzenia i na drugi dzień zasypywali gradem pytań na temat przebiegu zgromadzenia.

Nazwa Kapituły tak się podobała, że powstała rychło Młoda Kapituła, czyli Kapituła Nr II, powołana przez młodszych Pukawianów. Dziewczeta nie chciały być w tyle i powołały odpowiednie swoje kierownictwo.

Różnie poukładały się losy wymienionych Pukawianów, jak w pięknej „Balladzie o dziesięciu batia-



Najbliżej J. Piotrowski, A. Zwoliński i T. Palej
u góry brat A. Zwolińskiego Sławek Mykita,
w środku zasłonięty N.N.

rach” Jerzego Michotka. Zmarli Stefek Babecki we Wrocławiu, i Tosiek Podłowski w Kłodzku. W Krakowie umarł ostatnio Tolek Palej (Tadeusz Palej). Zginęli bez wieści — Byniu Wojtarowicz, Sławek Mykita, Miecio Port i Adam Piotrowski. Trzej Pukawianie mieszkają obecnie we Wrocławiu, a jeden w Jeleniej Górze.

Płynęły dni działalności Pukawki — radosne, gdy świętowano zwycięskie mecze, smutne, gdy dochodziły wiadomości o aresztowaniach, wywozach lub poborze do Czerwonej Armii. Jednakże działalność klubu, który formalnie nie istniał, odegrała swoją rolę i to rolę pozytywną w życiu młodzieży Łyczakowa w latach 1940-1945.

ZDZISŁAW OJRZYŃSKI

Lwowskie piwnice

Lwowski rynek — to nie tylko wspaniałe kamienice, pełne wszelkiego dobra dla ducha i ciała, same jako dzieła sztuki sławiące tak właścicieli jak i ich projektantów i wykonawców, lecz również ukryte pod nimi piwnice, pamiętające jeszcze czasy przedrozbiorowej Rzeczypospolitej.

Wykonane z solidnie do siebie dopasowanych głazów, obliczone były na wielowiekowe używanie. Nie były one przeznaczone na magazynowanie opału czy ziemniaków, ale zgodnie z profesją właściciela, jakim był mieszczanin lwowski przeważnie kupiec służyły do składowania wspaniałych darów naszej ziemi — na wina, miody i pełną słodczy sprowadzaną z Peloponezu grecką małmazję. Takie stare piwnice były zresztą nie tylko w rynku — miały je wszystkie poważne firmy na terenie miasta.

Jedną z takich starych piwnic była „Biblioteka Atlasowa” w Rynku 45 pod „słynną knajpą artystyczną, co się Atlas zwie”.

Właścicielem jej był p. Edward Terlerski. Dziwna to była knajpa. Do stałych bywalców należeli słynni ludzie pióra, nauki i sztuki. Progi Atlasowej Biblioteki przekraczał często poeta, rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza Jan Kasprówicz, prezes polskiego PEN-Clubu i laureat Złotego Wawrzynu Akademii Literatury Jan Parandowski, Marian Hemar, Wiktor Budzyński — autor m.in. *Wesołej Lwowskiej Fali*, poeta Henryk Zbierzchowski — laureat literackiej nagrody Miasta Lwowa, poeta Jan Zahradnik, pisarz i teatrolog Artur Schröder, Egon Petry z Polskiego Radia we Lwowie, Szczepko i Tońcio, Jaracz i Solski, satyryk Wilhelm Raort, Tadeusz Boy-Żeleński, autor gawęd historycznych Stanisław Wysylewski, Jan Kiepusa, Witold Noskowski, Artur Rubinstein, i twórca Chóru Eryana geograf Jan Ernst, oraz wiele innych znakomitości, których karykatury wykonane przez Wyrzewyńskiego, Sichulskiego Mikułę czy Grusa pokrywały ściany lokalu.

A o profesorze Ernście krążył taki wierszyk Stanisława Mikuły:



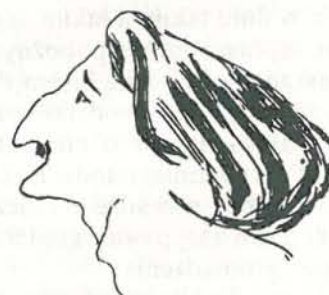
Jan Ernst

*Warszawa ma swego Dana
Cerkiew swe alumny
A Lwów ma Eryana
Z którego jest dumny.*



Jan Kasprowicz

Gdy zaś po swych gościnnych występach we Lwowie Hanka Ordonówna z Kazimierzem Krukowskim przysiadła się do stolika Henryka Zbierchowskiego, piszącego często pod swym literackim pseudonimem NEMO podawano jej kieliszek specjalnej wódeczki zwanej „nemówką”. Taka to była tradycja Atlasowej knajpy.



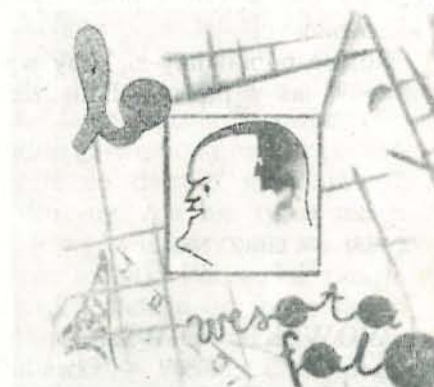
Henryk Zbierchowski



Jan Parandowski



Marian Hemar



Wiktor Budzyński



Artur Szyk



Tadeusz Hollender



Stefan Jaracz

Ale oddajmy głos nieznanemu koneserowi, który tam się znalazł z okazji bakchusowego święta razem z innymi „Bibliofilami”, czyli w dniu święta spuszczenia wina z beczek do flaszek.

„Radosne to święto i ma swój specyficzny wdzięk i nastrój. Siedzimy sobie w chłodzie piwniczki. Z półek biblioteki ustawione w rozkoszne piramidy, patrzą na nas książki różnych narodów: francuskie, włoskie, niemieckie, hiszpańskie i węgierskie. Na dzisiejszy dzień przypada literatura węgierska. Z ogromnej brzuchatej beczki przez gumową rurkę sący się węgrzyn do koła maszyny filtrkowej, przeczyszcza i wesołym złotym strumieniem wlewa się do ozdobnych flaszek. W piwnicy unosi się odurzający zapach



Repr. ze zbiorów p. R. Zychowej

soku winnej latorośli. Na zaimprovizowanym stoliku z beczek pojawiają się kielichy złocistego płynu, dającego urodę życia. Produkuje się swymi skarbami wyłącznie tokajska winnica firmy Özv. Borger J-ne-es Fia i to wszystkimi swoimi rocznikami od win najmłodszych do najstarszych. Jak w kalejdoskopie przesuwają się w kielichach roczniki: 1927, 1917, 1911, 1901 i 1889. Przy roczniku 1901 zatrzymujemy się najdłużej, bo to wino ma gęstość oliwy, kolor roztopionego złota a zapach raju. A przy samym końcu — maślacz z 1908 r. Z czupryn się kurzy, humory coraz cudowniejsze, u ramion wyrastają skrzydła. Ale jak tu polecieć, kiedy do nóg przywiązano oków... Niech Bóg da zdrowie i jeszcze jeden złoty medal na wystawie w Paryżu prezacnej firmie Borger za jej płody. Łatwo jest zejść do piwnicy, lecz wyjść z niej trudno. A może by tak pozostać w niej na zawsze, jak to głosi znana piosenka:

*W piwnicy mnie pochowajcie
I nalejcie wina dzban
I „requiescat” zaśpiewajcie
Umarł pijak, ale pan.*

Ale na szczęście z dobrego węgierskiego wina się nie „umiera”.

Artystyczna knajpa Atlasa nie była jedyną oazą radości we Lwowie — oto wiersz napisany przez Andrzeja Chciuka, który wymienia kilka innych lokali, a takich we Lwowie, zresztą każdy z nich był niepowtarzalny, było bardzo wiele.

*Było wy Lwowie moc lokali,
Lecz oni się nie umywali
(Choć mogli być i pirsza klasa
Do knajpy Edzia, do Atlasa.*

*A przecież byli też wy Lwowi:
Kozioł, Naftuła, Musiałowicz,
Kot, Terliczkowa, Lintner, Nowak,
„George” i „Krakowski”, dwa hoteli,
Iż równych im nie znajdziesz wielu ...
Lecz nie poezja tu jest ważna,
Ni wyszukanie słów i kształtów,
Ale wspomnienie i twarz każda
I serce Lwowskie — proszę pana —
Ach, jakże knajpa ukochana!
Każdy kieliszek, który pili z kimś
Malarz Oleksa Nowakiwskij,
Henio Zbierzchowski, Grus i Raort
Czy ksiądz Błotnicki. Placu mało,
By wszystkich tu pomieścić...
Bo tu na wszystkich miejsca nima!
A gdzie Hollender? A gdzie Hemar?
A Stroń? Zahradnik? i Rogowski?
A piękny Leszek Pośpielowski,
Co grał w tyatrze jaraczowskim,
Kochał się w Luli
Taż tutaj bractwo z całej Polski
Pilo! Ta nawet z zagranicy!
A więc ni tylko Węgrzyn, Solski
I Parandowski, co Horzycy
Coś tam tłumaczył nad węgorzem
Z Nowego Sącza. A Jaracz? Schiller?
I Bruno Schulz z Ignacym Witzem
I różnych innych ludzi tyli,
Typów artystów, ziemian, stworzeń,
Że trudno je sklasyfikować...
Bogata była Jama Lwowa!
Bo fajna była — żebyś wiedział —
Ta knajpa „Atlas”. I u Edzia
W „beczkowej sali”, w „białej sali” —
Wśród karykatur i rysunków
Sichulskich, Grusów i tak dali —
Porządni ludzie popijali
Porządne porcje dobrych trunków...*

Dla przypomnienia:

Błotnicki Franciszek ks. — katecheta w Gimn. Żeńskim Z.
Strzałkowskiej — autor liryk
Hollender Tadeusz — poeta i satyryk
Horzyca Wilam — reżyser teatralny, tłumacz lit. ang.
Kozioł Bolesław — restaurator, Lwów, Dominikańska
Kot — restaurator
Lintner — restaurator
Naftuła-Toepfer — restaurator
Nowak — restaurator
Nowakiwskij Oleksa — malarz impresjonista ze szkoły
Stanisławskiego
Pośpielowski Leszek — aktor Teatru Wielkiego we Lwowie
Rogowski Stanisław — poeta i dziennikarz
Schiller Leon — inscenizator i reżyser teatralny
Schulz Bruno — grafik folkloru żydowskiego
Sichulski Kazimierz — art. malarz
Radca Stroń — Wilhelm Korabiowski z Wesołej Lwowskiej Fali
Szyk Artur — art. malarz, grafik
Teliczkowa — pokój śniadankowy
Węgrzyn Józef — aktor dramat. i filmowy
Witz Ignacy — malarz i grafik

Moje lwowskie dziecięce Boże Narodzenie

Miasto otulał wczesny listopadowy zmierzch. Światłem rozbłyskiwały okna mieszkań i wystawy sklepów. Zaczynał się przedświąteczny ruch, mimo iż do Świąt jeszcze sporo czasu zostało. Ale nie dla dzieciaków. My właściwie już od końca października mieliśmy pełne ręce roboty. Trzeba było przecież myśleć o ozdobach na drzewko. Stąd wyprawy do sklepów papierniczych. Najważniejszy należał do pana Edwarda Zimnego, i tam właśnie sporo uciutych grosików zostawiłam, nie tylko zresztą ja. Wszystko było potrzebne. Zeszyty z kolorowymi klejonymi papierami te cieńsze i te grubsze, gdzie były arkusiki srebrne i złote. Kolorowe bibułki te gładkie i gurowane, arkusze gwiazdek we wszystkich wielkościach. Bardzo ważne były te z najmniejszymi gwiazdkami, służyły do o zdobych anielskich sukienek, oraz arkusze z głowami aniołów. Niezbędne wydawały się słomki, koraliki i staniole też we wszystkich kolorach. Pędzelki, pozlótki i srebro do włoskich orzechów. Na kartonie do wycinania stajenka betlejemka ze wszystkim, co w niej i przy niej być powinno. Jeszcze włos anielski i kolorowa mulina (nici) do baniek. Czy to nie zbyt dużo pracy dla jednej pary dziecinnych rąk?

Długie listopadowe wieczory — to był czas poświęcony na sporządzeniu zabawek na drzewko. Ile było radości przy klejeniu kolorowych ogni do łańcucha! Musiał być bardzo długi, nalażało nim opleść całe drzewko od góry do dołu. Aniołki w kolorowych szatkach upstrzonych gwiazdkami, koszyczki z kolorowych bibulek z posrebrzonym orzechem, pawie oczka małe, średnie i duże, oraz wiele innych drobiazgów zapełniało specjalnie do tego celu przygotowane pudła. W dzień wigilijny, nie wcześniej wnoszono do pokoju (najczęściej z balkonu) piękne, duże, zielone, pachnące lasem drzewko. Do pierwszej gwiazdki na niebie musiało być całkowicie ubrane w to wszystko, co wcześniej zostało zrobione. Na zielonych gałązkach wisały nie tylko bańki, ale bardzo drobne i bardzo czerwone jabłuszka, cukierki w kolorowych staniolkach i bibułkach sztuczne ognie, co najmniej po kilka na jednej gałązce i świeczki zwykle, kolorowe w małych lichterzykach. Pod drzewkiem stajenka i... miejsce, dużo miejsca na gwiazdkowe prezenty. Dom pachniał pastą do podłogi, piernikami (wisały też na gałązkach), trochę rybą, trochę kutią, trochę ciastem drożdżowym z cykatą nad wszystkim jednak unosił się zapach dalekiego, zaśnieżonego lasu... Stół z garścią siana na środku

przykrywał koniecznie lniany, jak śnieg biały, obrus. Na środku żłóbek z Dzieciątkiem, świece w błyszczących lichterzach, białe opłatki na świerkowych gałązkach i takie gałązki przy każdym nakryciu. Jedno nakrycie kompletne zawsze czekało na nie zapowiedzianego gościa, który w ten jeden Święty Wieczór nabywał praw rodzinnych... Gdy na niebie pierwszy gwiazdka błysnęła, Babcia zapalała świece na stole i na drzewku, odmawiała na głos pacierz składała wszystkim życzenia i dzieliła się opłatkiem. Po śmierci dziadka właśnie Ona pełniła rolę głowy rodziny. Do stołu zasiadali wszyscy domownicy, nawet gosposia. Obowiązywał wizytowy strój. Zaczynała się wigilijna wieczerza. Wnoszono kolejno dwanaście potraw. Był barszcz czerwony z grzybami, uszkami, pierogi ruskie i z kapustą, karp smażony z chrzanem, karp w galarecie i po żydowsku, kapusta ze śliwkami, strudel z jabłkami, kutia, kompot z suszu i pierniki. Trwało to wszystko bardzo długo, bo każdej potrawy bodaj uszczknąć należało, gdyż inaczej wigilijne przesady mogłyby nabrać złych mocy.

U nas w domu wiara w wigilijne wróżby była głęboko zakorzeniona i przekazywana z pokolenia na pokolenie. Ani moje obie babki, ani ciotki, ani mama nie pożyczły by w tym dniu nic od nikogo, nikomu by też niczego nie pożyczły, ani z domu by niczego nie wydały. Wróżby i przesady wigilijnego dnia miały mieć zarówno dobrą jak i złą moc przez cały rok. Po skończonej wieczerzy, babcia lub moja mama intonowały „Bóg się rodzi”... Od tej chwili każdy mógł zajrzeć pod drzewko i zabrać swoją paczkę, którą oczywiście przyniósł aniołek. Kolędowanie w domu trwało prawie do północy. W jakiejś chwili słowa kolęd milkły. Wszyscy z wyjątkiem mnie szli na pasterkę. Zimy w owe lata były mroźne i śnieżne, co dodawało świętom charakterystycznego kolorytu, tak lubianego przez wszystkich. Ostatnie takie właśnie święta we Lwowie spędziliśmy w 1938 roku. Potem wybuchła wojna, przyniosła ze sobą łyż i nieszczęścia, porozbijała rodziny, kazała zapomnieć o świątecznych i innych miłych tradycjach. Wojenne i tuż powojenne wigilie to temat na zupełnie inną opowieść. Minęły lata. Świat znowu się wtoczył w swoje utarte koleiny. Święta jak dawniej są okazją do rodzinnych spotkań. Ale wspomnienia wracają, a z nimi tamte dziecinne, lwowskie, z innego świata Gwiazdki...

We wrocławskim Arsenale przy ul. Cieszyńskiego 9 w dniu 27 listopada została otwarta wystawa Zdzisława J. Zielińskiego pt. KAMIŃ NA KAMNIENIU czyli Lwów znany i nieznany w fotografii na 102 fotogramach. Jest to 25 wystawa tego Autora dla uczczenia 75-rocznicy Obrony Lwowa i odzyskania Niepodległości. Wystawa została wzbogacona oryginalnymi eksponatami z okresu Obrony. Czynna we wtorki, czwartki, piątki, soboty i niedziele od 10.00 do 16.00 do końca stycznia 1994 r.

Moja Wilia na Snopkowie

Zapaliła się pierwsza gwiazdka na niebie. Cała rodzina siada do stołu, przy którym zawsze zostaje jedno niezajęte miejsce i dodatkowe nakrycie dla... niespodziewanego gościa. W rogu pokoju drzewko do samego sufitu pięknie ubrane a pod nim podarki dla całej rodziny i... niepodziewanych gości. Na choince zapalone świece (prawdziwe). Stół nakryty białym obrusem, ozdobiony świeżymi, zielonymi gałązkami świerku. Pod obrusem na czterech rogach sianko. Na stole białe świece, żywe kwiaty i na dużym talerzu opłatki dla całej rodziny. Życzenia dla całej rodziny przekazuje najstarszy przy stole, a później wszyscy dzielą się opłatkiem składając sobie życzenia.

Następowało spożywanie 24 potraw. Były to: śledź w oleju, śledź w śmietanie, rolmopsy, sałatka śledziowa, barszcz z uszkami, zupa grzybowa, zupa migdałowa, karp w galarecie, karp smażony, karp w szarym sosie, sandacz z wody, szczupak faszzerowany, lin na niebiesko, pierogi z kartoflami i serem, pierogi z kapustą i grzybami, łamańce z makiem, kompot z suszonych śliwek, kutia, bakalie, owoce, herbata, kawa, makownik, piernik.

W przerwie wieczery — po kutii i ciastach wręczano podarki, jeden z najmłodszych członków rodziny wybierał podarki spod drzewka i przekazywał poszczególnym osobom, dla których były przeznaczone. Po wieczery długo śpiewano kolędy i pastorałki przy akompaniamencie rodzinnej orkiestry szarpanej, były to mandolina, mandola, gitara I, gitara II, cytra. A oto niektóre przepisy na dania wigilijne:



Barszcz z uszkami

BARSZCZ

Wywar jarzynowy

W 3-ch szklankach wody gotujemy 4 czerwone buraki (najlepiej ćwikłowe) pokrojone w plastry, 2 marchewki, 1 pietruszkę, 1/2 selera, 2 pora, 1 mniejszą cebulę. Doda-

jemy 3 ziarna ziela angielskiego, 10 ziarn pieprzu tureckiego, 1/2 płaskiej łyżeczki soli.

Wywar grzybowy

W 2-ch szklankach wody gotujemy (w drugim garnuszku) 10 dkg grzybów suszonych (najlepiej prawdziwków).

Po ugotowaniu — obydwie wywary jarzynowy i grzybowy przelewamy przez sito i łączymy. Dodajemy do smaku odpowiednią ilość kwasu buraczanego (ok. 1/4 do 1/3 ilości obu wywarów) oraz soli i cukru. Barszcz mocno podgrzewamy — ale uwaga — nie gotujemy, barszcz traci wspaniały kolor i częściowo smak. Przy końcu dodajemy ząbek rozartego czosnku.

Kwas buraczany — 2 kg buraków czerwonych (najlepiej ćwikłowych) obranych i pokrajanych w plastry układamy w szklanym słoju i zalewamy przegotowaną, letnią wodą, tak, żeby pokryła buraki w słoju. Na wierzch kładziemy kromkę razowego chleba i po obwiązaniu słoika gazą stawiamy go w kuchni w ciepłym miejscu. Po kilku dniach (5 do 7) kwas jest gotowy. Usuwamy z powierzchni kwasu pianę, która wytworzyła się w czasie kiszenia buraków i zlewamy kwas do butelek. Butelki korkujemy i przechowujemy w chłodnym miejscu.

USZKA DO BARSZCZU

Ciasto

20 dkg mąki zagniatamy z całym jajkiem, szczyptą soli i 3-ma łyżkami gorącej wody. Ciasto powinno być wolne, dobrze wyrobione. Rozwałkowujemy na stolnicy bardzo cienko i krajemy na małe kwadraciki 3×3 cm. Na każdym kładziemy farsz grzybowy, składamy po przekątnej, dokładnie zlepiamy brzegi a następnie 2 przeciwległe rogi trójkątnego pierożka. Uszka wrzucamy do osolonej, gotującej się wody. Gdy wypłyną na wierzch — wyjmujemy łyżką cedzakową i polewamy roztopionym masłem.

Farsz grzybowy

Ugotowane grzyby, z których wywar dodany został do barszczu — siekamy bardzo drobniutko i smażymy na maśle. Do smażonych grzybów dodajemy drobniutko posiekaną cebulę, łyżkę bułki tartej, całe, surowe jajo oraz sól i pieprz do smaku. Farsz smażymy na maśle. Gdyby farsz grzybowy był za gęsty — dodajemy nieco wywaru z grzybów.

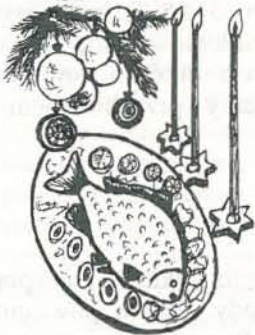
KARP W GALARECIE

Karpia oczyścić z łuski, przeciąć wzdłuż kręgosłupa, wypatroszyć, wyporcjować w poprzek na kawałki o szer. ok. 5 cm. Z głowy ryby, dużej ilości włoszczyzny, przypraw: 5 ziarenek ziela angielskiego, 5 ziarenek pieprzu tureckiego, małego liścia bobkowego oraz upieczonej na suchej patelni średniej cebuli gotujemy wywar. Przy końcu gotowania solimy.

Wywar przecedzić i do mocno ciepłego włożyć kawałki ryby, gotować na małym ogniu ok. 15 minut. W tym czasie namoczyć żelatynę (2 do 3 listków) w 1/2 szklanki wody do zmięknienia. Ugotowaną rybę układamy na półmisku ubranym jajkami, ugotowanymi na twardo, ugotowaną w wywarze marchewką, zielonymi listkami pietruszki. Wywar przecedzić, dodać żelatynę i zagotować. Gdy żelatyna rozpuści się całkowicie — należy galaretę ostudzić i zimną zalać rybę. Postawić półmisek do stężenia galarety. Podając na stół można przybrać listkami zielonej sałaty oraz plasterkami lub częstkami cytryny. Do ryby w galarecie można podać sos tatarski.

KARP SMAŻONY

Oczyszczonego karpia krajemy na porcje, które solimy i posypujemy tymiankiem. Najlepiej, jak tak przygotowane porcje ryby poleżą ok. 6 godzin. Następnie poszczególne porcje karpia otaczamy w mące, maczamy w rozbełtanym całym jajku i obsypujemy bułką tartą. Smażymy na małym ogniu, na maśle, na jasno złoty kolor. Na końcu można włożyć na kilka minut do piekarnika, co poprawia smak ryby. W piekarniku patelnia powinna być przykryta pokrywką. Usmażonego karpia podajemy ze świeżym chrzanem, utartym na tarce.



Pierogi z kiszoną kapustą i grzybami suszonymi (prawdziwki)

Ciasto na pierogi

3 i 1/2 szklanki mąki wysypujemy na stolnicę, dodajemy całe jajo, 1/2 płaskiej łyżeczki soli, 2 łyżeczki nietwardego masła i ok. 1/2 szklanki wrzółku. Ciasto zagniatamy, powi-

no być niezbyt twarde, elastyczne. Rozwałkowujemy na cienkie placki a następnie wykrywamy mniejszą szklanką lub większym kieliszkiem kółeczka. Na każde kładziemy farsz i bardzo dokładnie zlepiamy brzegi pierożka. Układamy je na posypanej mąką stolnicy. Pierogi wrzucamy do gotującej się osolonej wody i gotujemy na małym ogniu ok. 6 do 7 minut od chwili, gdy wypłyną na powierzchnię. Po ugotowaniu wyjmujemy łyżką cedzakową i od razu polewamy roztopionym masłem.

Uwaga — wyrobione ciasto należy podzielić na części, jedną część rozwałkowujemy, a pozostałe przykrywamy miseczką, żeby nie obsychały.

Farsz — kapusta kiszona z grzybami

1 kg kiszonej kapusty (o ile za kwaśna przepłukujemy pod bieżącą wodą) zalewamy 3-ma szklankami wody i gotujemy do miękkości. W osobnym garnuszku w niewielkiej ilości wody gotujemy 10 dkg grzybów suszonych (najlepiej prawdziwków).

Kapustę po ugotowaniu mocno odcisnąć (najlepiej w woreczku płóciennym) i bardzo drobno posiekać. Miękkie grzyby również należy drobniutko pokroić. 1-ą dużą cebulę pokroić w bardzo małą kosteczkę i lekko podsmażyć na maśle, dodać posiekaną kapustę, grzyby — dalej smażyć (kilka minut), do smaku dodać soli i pieprzu tureckiego a na końcu surowe jajo. Wymieszać i zdjąć z ognia. Farsz gotowy.

Uwaga — w przypadku jeśli farsz jest za gęsty można dodać wywaru z grzybów.

GOŁĄBKİ Z RYŻEM I GRZYBAMI

Dużą główkę świeżej kapusty (wybierać luźno związaną) opłukać w wodzie. Wyciąć głąb i liście kapusty ostrożnie oddzielać. Następnie gotować partiami we wrzącej wodzie dość krótko, ok. 5 minut, wyjmować łyżką cedzakową i ostudzić. W liściach zgrubienia rozbić tłuczkiem uważając, żeby nie

uszkodzić samych liści. Na każdy liść kapusty nałożyć nadzienie, zagiąć 2 boki liścia i zwinąć w rulon. Na dno garnka należy dać liście kapusty (reszta z obgotowanych), na nich ułożyć 2 do 3 warstw gołąbków, zalać szklanką osolonej, wrzącej wody, 1/3 szklanki wywarem z grzybów a na wierzchu przykryć pozostałymi liśćmi kapusty. Wstawić do średnio nagrzanego piekarnika, kiedy liście kapusty na wierzchu są zrumienione — gołąbki są gotowe. Po wyjęciu poleać roztopionym masłem.

Nadzienie

Ryż — 25 dkg ryżu ugotować w dużej ilości wody — osolonej i z dodatkiem 1 łyżeczki masła. Gotować na małym ogniu aż ryż będzie miękki.

Grzyby — 5 dkg grzybów suszonych (najlepiej prawdziwków) ugotowanych drobniutko siekamy, smażyć krótko na maśle razem z drobno posiekaną cebulą. Solimy i pieprzymy do smaku. Ryż łączymy z grzybami i nadziewamy gołąbki. Dla otrzymania bardziej ścisłych gołąbków można dodać do nadzienia całe surowe jajko.

KOMPOT Z SUSZONYCH ŚLIWEK

30 dkg suszonych śliwek opłukać w wodzie, następnie pozostawić na noc zalane chłodną, przegotowaną wodą. Na drugi dzień dodać 3 kopiate łyżki cukru, mały kawałek cynamonu i umytą skórkę z 1/2 cytryny. Gotować na małym ogniu do miękkości. Odstawić i mocno schłodzić.

KUTIA

25 dkg pszenicy oczyszczonej, bez łusek zalać dużą ilością wody, ok. 3 litrami i gotować na małym ogniu ok. 3 do 4 godzin, aż pszenica będzie miękka. Jak nie dostaniemy na targu pszenicy oczyszczonej — możemy ziarna pszenicy nieoczyszczonej opłukać, wilgotne wsypać do makutry, ucierać wałkiem do ucierania co jakiś czas skrapiając wodą. Oczyszczoną z łusek pszenicę należy dokładnie wypłukać i odcedzić oraz gotować, jak wyżej opisano.

50 dkg maku zalać wrzącą wodą, odcedzić. Następnie mak zalać 1 litrem wrzącego mleka i gotować na małym ogniu przez 30 do 40 minut. Odsączyć na sicie i czterokrotnie zemleć na maszynie do mięsa z sitkiem o najmniejszych oczkach. Zmielony mak mieszamy z 50 dkg miodu pszczelego, dodajemy 10 dkg umytych rodzynek, 10 dkg obranych ze skórki i pokrojonych w bardzo małe paseczki migdałów, 20 dkg posiekanych orzechów włoskich, 10 dkg usmażonej w cukrze i drobno pokrojonej skórki pomarańczowej, zapach waniliowy i ugotowaną pszenicę. Smak kutii będzie lepszy a i aromat również dodamy 2 łyżki konfitury z róży. Kutię należy mocno schłodzić przed podaniem.

Uwaga — w przypadku gdyby kutia była za gęsta można dodać kilka łyżek słodkiej śmietanki. Często do kutii dodajemy również drobno pokrojone daktyl i figi. Kutia ze wszystkimi bakaliami i konfiturą z róży jest wykwinna.

MAKOWNIK

Ciasto drożdżowe

15 dkg masła ucieramy bardzo starannie z 15 dkg cukru pudru, następnie dodajemy stopniowo 4 żółtka i całe jajko, szczyptę soli oraz rozpuszczonych 6 dkg drożdży w 1/2 do 3/4 szklanki mleka, które powinno być letnie. Na końcu dodajemy 35 dkg mąki pszennej i wyrabiamy bardzo dokładnie ciasto ręką. Jak ciasto odstaje od ręki i tworzą się na nim pęcherzyki — ciasto jest wyrobione. Odstawiamy przykryte serwetą do wyrośnięcia na 1 godzinę. Rosnąć powinno w ciepłym miejscu.

Wyrośnięte ciasto (podwojona objętość) rozwałkowujemy bardzo cienko na stolnicy oprószonej mąką. Zachowujemy kształt prostokąta. Ciasto smarujemy białkiem, aby farsz makowy nie odstawał od ciasta i równomiernie nakładamy farsz. Ciasto zwijamy dość ciasno (zawinięć powinno być przynajmniej 7-8), końce makownika zalepiamy i podwijamy pod spód. Wkładamy do foremki nasmarowanej masłem i odstawiamy w ciepłym miejscu do wyrośnięcia na

ok. 45 minut. Przed włożeniem do piekarnika wierzch makownika smarujemy rozbełtanym, całym jajkiem. Pieczemy 45 do 50 minut.

Farsz makowy

50 dkg maku płuczemy w wodzie — następnie gotujemy w 1 litrze mleka) mak zalewamy wrzącym mlekiem) na małym ogniu przez 30 do 40 minut. Osączyć na sicie i czterokrotnie zemleć na maszyce do mięsa z sitkiem o najmniejszych oczkach.

W żeliwnym naczyniu rozpuszczamy 10 do 15 dkg masła, szklankę miodu pszczelego, dodajemy 20 dkg opłukanych rodzynek, 10 dkg drobno pokrojonych orzechów włoskich, 10 dkg pokrojonych w paski migdałów, 1/2 szklanki drobno pokrojonej usmażonej w cukrze skórki pomarańczowej i na końcu maku. Masę makową smażymy na małym ogniu od 10 do 15 minut stale mieszając. Gdy masa będzie ostudzona — dodajemy 3 żółtka utarte z 1/2 szklanką cukru oraz ubitą na sztywno pianę z 3-ch białek. Dla lepszego smaku makownika dodajemy do farszu makowego — 2 łyżki konfitury z róży i kieliszek nalewki z derenia.

MAGDA LUKAS

Na Boże Narodzenie

*Gdy Matka Boska nucila Dzieciątku polską kolędę
przed spaniem,
spotkały się w progu stajenki dwie dziwne, smutne
litanie.*

*W jednej z łez matczynych zrodziły się gorzkie strofy
Drugą wystukiwały na drodze uralskie — kilofy
I płaczą słowa litanii i każde słowo płacze,
Że nie masz końca udręki, że nie masz końca rozpacz
I płyną słowa litanii i piecze coś pod powieką,
Że lód na Uralu tak twardy, a matka i dom tak daleko
A Matka boska słucha gdzieś w betlejemskiej stajence
I dwie litanie pielgrzymie litośnie bierze w ręce
Przedziwna to była przygoda, przedziwne to było
spotkanie*

*Na progu biednej stajenki, stanęły dwie smutne litanie
Jednakie były prośby, te same rzewne słowa
Jedna płynęła z Uralu, druga dążyła do Lwowa
Dla każdej najmniejszej modlitwy jedna jest tylko
droga:*

*Czy skrzypi śniegiem, czy płacz — zawsze dociera do
Boga!*



Nasza polska wigilia 3 lata temu we Lwowie

„Aby byli jedno” pod takim ewangelicznym hasłem Jerzy Michotek i Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa doprowadzili do spotkania wigilijnego Polaków we Lwowie, pierwszego, publicznego po tylu latach w sali teatru im. J. Gagarina.

Apele Michotka w Warszawie miały żywy oddźwięk. Ochocko i bezinteresownie zgłosił się Daniel Olbrychski, a za nim p.p. Katarzyna Zachwatowicz i Maciej Paderewski — profesorowie Akademii Muzycznej, Artur Cieślak — pianista, Włodzimierz Mykita — skrzypek, lwowianin, stypendysta Akademii.

Nie zabrakło również wybitnych przedstawicieli świata polskiego sportu w osobach p.p. Kazimierza Górskiego i Michała Szczepana. Kapelanem na tę uroczystość był ks. infułat Tadeusz Fedorowicz. Do grupy warszawskiej dołączyli z Wrocławia wraz z paczkami świątecznymi prezes zarządu Głównego TML dr Andrzej Kamiński i sekretarz mgr Danuta Tabińska-Juhasz, oraz poseł na Sejm RP dr Stanisław Rogowski.

Organizatorami tej publicznej, pierwszej wigilii na miejscu we Lwowie byli: „Energopol” ze swoim nieocenionym dyrektorem Józefem Bobrowskim, oraz Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej.

Sala teatru była wypełniona po brzegi, wiele osób odczuło klimat rodzącej się nadziei „na lepsze”, niezwykłość tej chwili była odczuwana przez wszystkich. Przez tych, którzy przyjechali i przez tych którzy tu żyją.

Na tle stylizowanej szopki autorstwa Adama Kiliana, na scenie stał duży wigilijny stół nakryty białym obrusem, na którym leżały opłatki oświetlane migającym światłem świec. Za stołem siedziały obie grupy — warszawska i wrocławska.

Jerzy Michotek swoje serdeczne powitanie w imieniu przybyłych z Polski rodaków poświecił zawsze aktualnej dla wszystkich ludzi — a szczególnie w obecnej chwili dla nas Polaków przesłaniu ewangelicznemu „Aby byli jedno”. Zakończył słowami: „Przywieźliśmy Wam dar polskich serc, przywieźliśmy życzliwość, serdeczność, pamięć, serca przywieźliśmy na dłoni, a swoje serca mamy w gardłach. Przychodzimy z wyciągniętą ręką. Chcemy, by tu Polacy mieli taką wolność w wolnej Ukrainie, jaką Ukraińcy mają w wolnej Polsce. Zapracowaliśmy wszyscy na pokój, jesteśmy już wszyscy strudzeni, zmęczeni, jest nam ciężko. Więc znowu z najmądrzejszej księgi świata — Pokój niech będzie z nami.”

Głos następnie zabrał ks. infułat T. Fedorowicz, który przed 84 lata urodził się właśnie tu we Lwowie. Oto Jego słowa wypowiedziane na tej wigilii 3 lata temu. „Z wielkim wzruszeniem staje przed Państwem po tylu latach strasznych niepokojów spowodowanych kłamstwem nienawiścią i egoizmem. Chcemy budzić w ludzkich sercach uczucia, przyjaźni, wzajemnej życzliwości, niezależnie od pochodzenia społecznego, wykształcenia i narodowości — najważniejsze jest bowiem człowieczeństwo. Jesteśmy stworzeni na podobieństwo Boże. Chcemy budzić ten pokój, który obiecany jest ludziom dobrej woli. Pełni tęsknoty za

Księciem Pokoju, mającym się narodzić w naszych domach, naszych sercach. Dlatego przychodzimy z opłatkiem, z chlebem, aby się nim podzielić, aby wszystkich pobudzić do dzielenia się swoją dobrocią jak chlebem.” Po tych słowach ksiądz infułat i Polacy ze sceny zeszli na widownię z białymi opłatkami w dłoniach i dzielili się z uczestnikami wigilii.

Wzruszenie było ogromne, religijne i patriotyczne, polały się łzy. Wśród tej wymiany ogarniającej wszystkich serdeczności i braterskiej więzi prof. Katarzyna Zachwatowicz śpiewała nasze polskie kolędy. Wspólny śpiew brzmiał w całej sali aż do momentu solowego wystąpienia Jerzego Michotka. Przy akompaniamencie wiernej gitary odśpiewał swoje „Wigilie”, „Wierne Madonny” (to już prawie nasza lwowska modlitwa) i piękną „Balladę o dziesięciu Batiarach”.

Po tej części głos kolejno zabierali czterej tylko „batiarzy” tj. St. Rogowski, A. Kamiński, K. Górski, M. Szczepan mówiąc zwięźle o swoich losach związanych z miastem Lwovem. Wysłuchaliśmy następnie koncertu muzycznego prof. Macieja Paderewskiego i jego studentów A. Cieślaka i W. Mykity. A na koniec Daniel Olbrychski dał wielki popis swego talentu aktorskiego, mówiąc metaforycznie, posypały się przed publicznością perły poezji polskiej, tak wspaniałe dobrane do miejsca i chwili. Owacje na stojąco były bardzo, bardzo długie.

Na wieczerzę wigilijną zaprosił do siebie — tzn. do ozdobionej świątecznymi choinkami (drzewkami po lwowsku) stołówki dyr. J. Bobrowski. Zmieścili się wszyscy goście z Polski, środowisko Lwowskich Polaków, oraz pracownicy „Energopolu”, którzy społecznie odgruzowywali Cmentarz Orłąt. Właśnie Oni wraz z swoim dyrektorem odznaczeni zostali Krzyżami „Obrony Lwowa” przyznanymi przez Kapitułę Krzyża II Obrony Lwowa, w uznaniu zasług wniesionych w dzieło odbudowy Cmentarzy Obrońców Lwowa i Łyczakowskiego. Przy oklaskach 300 osobowej sali, trzydziestu młodych wzruszonych ludzi udekorowanych zostało przez przedstawicieli Zarządu Głównego TML, dr A. Kamińskiego i mgr D. Tabińską-Juhasz.

Nie zabrakło w takiej chwili przemówienia serdecznego, obecnego na sali ówczesnego, cieszącego się dużą sympatią środowiska Polaków p. Konsula RP Janusza Łukaszewskiego jak również dyr. J. Bobrowskiego. Głos też zabierali Rodacy z Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Przy wigilijnym śledziku i rybce atmosferę do późnych godzin nocnych wypełniła serdeczność. Dla najwytrwalszych, niestrudzonych Daniel Olbrychski dał jeszcze znakomity i prywatny spektakl do białego rana.

Pomyśl i organizacja tej wzruszającej wigilii z przed 3 lat była zasługą Jerzego Michotka. Dzięki Jego apelom, urokowi osobistemu, zaangażowaniu w sprawy lwowskie, autokar do Lwowa wioził nie tylko wspaniałych artystów, ale też dwieście kilkadziesiąt paczek świątecznych i paręset kg cukru.

Takie wigilie należy powtarzać tym bardziej, że mimo upływu czasu słowa Jerzego Michotka i ks. infułata T. Fedorowicza są wciąż aktualne.

Strzecha Stryjska i inne środowiskowe wydawnictwa kresowe

Dotarło do mnie już 10 numer tego regularnie wydawanego kwartalnika, który zrodził się w środowisku Klubu Stryjan we Wrocławiu. Mówiąc ściślej jego pomysłodawcą, redaktorem naczelnym, wydawcą, nierzadko kolporterem jest prezes tego Klubu p. mgr Krystyna Roszek-Masiak przy współpracy kolegium w składzie: Henryk Hordt, Władysław Jakimow, Stanisław Tomanek, Anna Wojciechowska.

Sam Klub Stryjan we Wrocławiu jest liczebnie niewielki, bo Stryjanie rozproszyli się po Polsce. Bardziej zwarte ich skupiska znajdują się w Gliwicach, Warszawie, Krakowie i Opolu. Ale pasja i poczucie jakiejś osobistej powinności przekazania dziejów Stryja kazała rzucić zawód mgr farmacji, wykonywany tradycyjnie w rodzinie p. Krystyny i stać się kronikarzem rodzinnego miasta. A jest to miasto, którego położenie u podnóża Karpat, na starym szlaku z Rusi na Węgry zdeterminowało jego historię, wplecioną w burzliwe dzieje Kresów Pół-Wschodnich Polski. Więc szuka i gromadzi p. Krystyna przede wszystkim wszelkie materiały dotyczące Stryja i ziemi stryjskiej w czym dzielnie jej towarzyszy p. prof. Henryk Hordt. Bardzo liczna korespondencja, która prowadzi redaktor naczelną „Strzechy Stryjskiej” daje nieraz nieoczekiwane efekty — odnajdują się zagubieni Stryjanie nawet gdzieś w kraju mahometańskim, skąd odnaleziony rodak przesyła swoje wspomnienia. Materiały publikowane w „Strzesze Stryjskiej” bywają zresztą różnorodne, np. w nr 10 — obok wspomnień poświęconym tym co odeszli, znajdziemy dzieje miasteczka Sokołówka, ściśle związane z historią rodziny Dzeduszyckich; dramatyczne starania rodaka ze Lwowa o odzyskanie polskiego obywatelstwa, czy dalszy ciąg dyskusji o „przynależność miejską” Kazimierza Wierzyńskiego (Stryj czy Drohobycz). Jest też dział korespondencji i poszukiwań.

Pani Krystyna przygotowuje też wydanie osobnych prac. Zdradzę tajemnicę, że wśród nich są następujące: „Świat, który przestał istnieć” czyli o miejscowościach kresowych, miasteczkach i osadach, które zniknęły już z mapy i „Przewodnik po Stryju” (zaktualizowany). Natomiast na łamach „Strzechy Stryjskiej” w 1994 roku będzie zamieszczony cykl artykułów o dziejach szkolnictwa i kolejnictwa w Stryju.

Redaktorka Strzechy nie kryje, że boryka się z dużymi trudnościami wydawniczymi, ale kwartalnik dzięki jej pracy i kolegium redakcyjnego ukazuje się regularnie. Swoim zapalem zaraziła p. Krystyna innych — wspierają wydawnictwo finansowo przyjaciele pisma, ofiarowują bezpłatne usługi, nieraz pisanie na maszynie, podwiezienie autem, darmowe recenzje i korekty, prace graficzne. Tę życzliwość p. Krystyna wielce sobie ceni.

W tych pracach wydawniczych „Strzesze Stryjskiej” zaczęły towarzyszyć pokrewne czasopisma kresowe. Oddział „Buczacz” ZML i KPW kierowany przez energiczną p. mgr Adelę Łucarz doczekał się „Głosu Buczacza”, przy powstawaniu którego pomógł redaktor

naczelną Semper Fidelis dr Zdzisław Ojrzynski. A ja, z dużym sentymentem zaznajomiłam się z 7 już nr „Spotkań Świrzan”, którego jedynym twórcą, redaktorem, wydawcą i korektorem jest p. Józef Wyspiański w Lubinie. Jak mówi nota redakcyjna jest to „Biuletyn Świrzan i ich Potomków”.

Miasteczko Świrz leży 10 km za zachód od Przemyślan w woj. tarnopolskim. Posiada, wspaniały zabytek architektury XV-wiecznej — zamek fundacji książąt Świrskich. Temu miasteczku o bogatej historii poświęcony jest biuletyn p. Józefa Wyspiańskiego. W numerze 7 jest m.in. artykuł prof. Andrzeja Żakiego (świrzanina, zamieszkałego obecnie w Zürichu) o Gabrieli Świrskim, XVI-wiecznym pierwszym polskim tłumaczem poezji Wergiliusza, fragmenty pamiętnika Pawła Wyspiańskiego o zwyczajach i obyczajach ludności Świrza, dalszy ciąg biografii pierwszego komendanta przemysłańskiego obwodu AK i dziewcząt z przemysłańskiej konspiracji — oba autorstwa redaktora „Spotkań Świrzan”. Są fotografie polskich mieszkańców Świrza z przed 1939 roku — z wesela, z odpustu w Hanaczowie. Jest też fotokopia dokumentu z archiwum kościoła parafialnego w Świrzu z 17 XI 1797 roku. Jak na skromny tytuł „biuletyn” materiał wcale poważny. A „Spotkania Świrzan” doczekały się żywego oddźwięku o czym świadczy korespondencja napływająca na ręce p. Wyspiańskiego.

Chciałam tu jeszcze serdecznie zachęcić do wydawania metodą „ksero” dalszych biuletynów Zarząd TML i KPW w Kłodzku. Ich „Leopolis” wydaje tam kolegium w składzie: Anna Baran, Danuta Skonieczna, Marian Stopiński, Ludwik Żabski”. Czekamy na numer styczniowy 1994 i myślę, że będzie równie interesujący jak ten z roku 1992, który sobie cenię za „Lewandówkę” Ludwika Żabskiego, za cykl „Lwów stary i wczorajszy” za pomysł publikacji opatrzonego tytułem „... u Orgelbranda”. Brawo Lwowianie z Kłodzka.

Mam jeszcze inne kresowe „ksery” np. Biuletyn Informacyjny Oddziału TML i KPW w Poznaniu, Biuletyn Kołomyjski i Krakowski. W ostatnim czasie pojawili się „Kresowianie” — wydał Wałbrzyski Oddział TML i KPW (red. p. J. Hak). Kryje się za tymi wydawnictwami ofiarna społeczna praca robiona z potrzeby serca. I tak powolutku, wśród licznych trudności odtwarzamy dzieje Kresów Wschodnich, gdzie każde najmniejsze wspomnienie jest ważne, wypełniające puste karty historii związanej z losem ludzi, miasteczek i miast, z czasoprzestrzenią ostatniej wojny, która rozrzucała obywateli polskich Kresów Wschodnich po wszystkich kontynentach.

Nie wspominam tu o wydawnictwach kresowych związanych z dziejami Ziemi Grodzieńskiej i Wileńskiej, bo wymagają one osobnego omówienia. Na razie dziękujemy serdecznie za przysyłanie nam Gońca Kresowego” wydawanego przez Towarzystwo Przyjaciół Grodna i Wilna.

23 listopada 1993 odbyła się w Warszawie sesja naukowa, poświęcona wybitnemu uczonemu, twórcy polskiej szkoły biochemicznej prof. dr Jakubowi Parnasowi, o którym członek rzeczywisty PAN, prof. dr Bogusław Halikowski tak napisał: „gdyby wojna nie przerwała działalności Profesora Jakuba Parnasa – byłby On niewątpliwie pierwszym polskim laureatem nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny”.

Cytowane zdanie znajduje się w wydanej ostatnio książce wydanej przez wydawnictwo IHNOiT PAN pod redakcją naukową Przewodniczącej Komitetu Historii Nauki i Techniki Polskiej Akademii Nauk prof. dr Ireny Stasiewicz-Jasiukowej pt. „Lwowskie Środowisko Naukowe w latach 1939-1945”.

W jednym z następnych numerów Semper Fidelis zapoznam Sz. Czytelników z tą książką – dokumentem.

Zdzisław Ojrzyński

Doskonałym prezentem Świątecznym – dobra książka! We wrocławskiej księgarni Ossolineum są do nabycia następujące pozycje:

- książka stulecia: Romana Aftanazego – DZIEJE REZYDENCJI NA DAWNYCH KRESACH RZECZYPOSPOLITEJ
- Witolda Szolczi TAMTEN LWÓW 4 tomy
- Stanisława Wasylewskiego CUDA POLSKI – LWÓW (reprint)
- Zbysława Popławskiego DZIEJE POLITECHNIKI LWOWSKIEJ 1844-1939
- Stanisława Niciei CMENTARZ OBROŃCÓW LWOWA
- Alfreda Jahna Z KLEPAROWA W ŚWIAT SZEROKI
- Władysława Szczepańskiego LWÓW (teka rysunków)
- Mariana Tyrowicza WSPOMNIENIA O ŻYCIU KULTURALNYM I OBYCZAJOWYM LWOWA
- Janusza Wasylkowskiego ROCZNIK LWOWSKI 1992

NASI CZYTELNICY PISZĄ

Wielce Szanowni Państwo!

Najpiękniej dziękuję za nieustającą pamięć i, ostatnio, za przesłanie mi kolejnego numeru (3(16)) 1993 Semper Fidelis. Ze wzruszeniem prawdziwym odbieram te, coraz lepsze oraz coraz bogatsze dowody polskiego wysiłku, by nie zapomniano tego, co zawsze wiązało się z polskim imieniem.

Prof. dr hab. Władysław A. Serczyk

* * *

Fundacja Kresowa Semper Fidelis otrzymała list od Pani Grażyny Stankiewicz, którego fragmenty cytujemy: „Drugi rok z rzędu wpłacam co miesiąc 10 tys. zł na Fundację Semper Fidelis a nie na kwartalnik Semper Fidelis, który kupuję w Bydgoskim Oddz. TML i KPW. Nie jest to fortuna, ale z emerytury tyle mogę wpłacać co miesiąc a nie jednorazowo dużej sumy, ale czynię to z potrzeby serca.”

Szanowna Pani Grażyno!

Jesteśmy wdzięczni za Pani „potrzebę serca” i co miesięczne wpłaty zasilające kasę Fundacji. Wyjaśniamy, że wszystkim naszym Darczyńcom bez względu na wysokość wpłat, wysyłamy w podziękowanie nasze pismo Semper Fidelis. Prosimy więc go nie kupować, a za kontynuację miesięcznych wpłat serdecznie Pani dziękujemy, jak również za miłe słowa w liście. Przesyłamy pozdrowienia i życzenia miłej lektury.

Prezes Fundacji
mgr Danuta Tabińska-Juhasz

* * *

W Semper Fidelis Nr 2(15) 1993 zamieściliście notatkę o śmierci ks. Władysława Matusa. Podaliście w niej, że budował kościół św. Elżbiety we Lwowie. Tymczasem ks. Matus otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1913, był wikarym w Lubaczowie i proboszczem w Husiatynie i dopiero potem przeszedł do Lwowa. Kościół św. Elżbiety budowano od r. 1903 do 1912 (1907?), a więc z samego porównania dat widać, że ks. Matus przyszedł do wybudowanego już kościoła i najwyżej zajmował się dalszym wyposażaniem wnętrza. Warto podaną przez was wiadomość skorygować po prostu dla prawdy historycznej.

ERRATA

Od Autora artykułu „Ksiądz Edward Tabaczkowski” zamieszczonego w numerze 3(16) 1993, ks. prof. Lesława Jezowskiego otrzymaliśmy list, w którym zaprotestował On przeciwko skrótom dokonany przez redakcję. Musieliśmy tak postąpić nie dlatego, że redakcja posiada prawo do skrótów lecz dlatego, iż stale mamy za dużo materiałów a za mało miejsca w Semper Fidelis. Przepraszamy Autora ale skróty redakcja musi dokonywać i Szanowny Autor nie stanowi tutaj żadnego wyjątku a sylwetkę księdza Tabaczkowskiego skrócony artykuł napewno nie umniejszył. Natomiast ówczesny redaktor prowadzący pominął akapit mówiący

Odnosnie artykułu Danuty Śliwińskiej, „Mecenas Tadeusz Piziewicz 98-letni obrońca Lwowa” str. 28 w Semper Fidelis Nr 2/1993 chciałam donieść, że prócz wymienionego p. Tadeusza Piziewicza żyje, również Stryjanin p. Jan Nadziejowski. Mieszka obecnie w Sopocie i liczy 88 lat. Nazywamy Go stryjskim Długoszem, gdyż pomimo sędziwego wieku ma wspaniałą pamięć, wspomaganą kroniką prowadzoną od 1912 roku. Jest to dla pisma „Strzecha Stryjska” głównym fundamentem wiarygodności dawnych wspomnień stryjskich. Sylwetkę p. Jana Nadziejowskiego nakreślił w artykule: „Stryjanie w obronie Lwowa”, którą z chęcią prześlemy na łamy „Semper Fidelis”.

Krystyna Roszek-Masiak

* * *

Poszukuję rodziny swego kolegi tzw. „białego kuriera” na trasie Budapeszt – Lwów, zamieszkałego przed wojną w Drohobycz. Z końcem 1939 roku przeszedł On granicę węgierską i używał na Węgrzech (Budapeszt) nazwiska Jan Hubicki. Ewentualne wiadomości może posiadać o nim kurier Władysław Ossowski (Mały Franek) zamieszkały obecnie w Legnicy. Rodzinie chciałbym przekazać wiadomości o jego losie.

Jan Skulski
44-100 Gliwice
ul. Plebiscytowa 12/11

* * *

UWAGA SOKOLNIKI

Poszukuje się osoby pochodzące z Sokolnik pod Lwowem, które posiadają strój ludowy z tej wsi, męski i kobiecy, lub bodaj jego fragmenty. Cenne byłyby również fotografie i opisy, a także własne wspomnienia na ten temat.

Chodzi o odtworzenie przy pomocy etnografów tego stroju dla polskiego zespołu artystycznego.

Wszelkie wiadomości prosimy kierować na adres:

Towarzystwo Miłośników Lwowa
i Kresów Płd-Wsch.
31-111 Kraków
ul. Piłsudskiego 27, „Sokół”

o granitowym epitafium wmurowanym w kościele św. Stanisława i Doroty we Wrocławiu, ufundowanym przez Klub Tłumacz, które jest poświęcone ks. Tabaczkowskiemu. W tym względzie Autor miał rację, że pominęto tę informację.

* * *

W artykule poświęconemu centralnym obchodom 75-tej rocznicy Obrony Lwowa w Lublinie wkraść się błąd, zniekształcający nazwisko Obrońcy Lwowa p. mgr inż. Romana Aslera, za co serdecznie przepraszamy. Obiecujemy, że przy druku specjalnego numeru, poświęconego obchodom tej rocznicy w skali krajowej, będziemy uważać, aby taki błąd nie miał miejsca.

W namiocie handlowym „ARENA”

przy pl. Grunwaldzkim we Wrocławiu

Zaopatrzysz się na święta we wszystko!!! – Najtaniej, najkorzystniej!!!



160 stoisk z miłą rzetelną obsługą oferuje najlepszej jakości artykuły spożywcze:

owoce, jarzyny, słodczyce, napoje, nabiał, pieczywo, mięso, wędliny, drób, garmażerka.

Artykuły przemysłowe takie jak:

chemia gospodarcza, kosmetyki, art. gospodarstwa domowego art. piśmienne, kasety, książki, gazety, papierosy.

Duży wybór różnego rodzaju obuwia, pantofli, galanterii, bielizny, rajstop, skarpet, odzieży, swetrów, kurtek, płaszczy.

Zapraszamy na udane zakupy do namiotu „Arena”



Przedstawicielstwa:
Litwa, Rosja,
Białoruś i Ukraina

Działalność handlowa, produkcyjna i usługowa
na potrzeby krajowe
oraz związane z eksportem i importem.
Budowa i wykonawstwo konstrukcji ze stali i szkła.

Biuro Handlowe Eksport-Import
ul. Mennicza 1, tel./fax 343-56
50-057 Wrocław

NOWA LWÓWSKA TAŚMA

Oddział Wrocławski TML i KPW zawiadamia o wydaniu trzeciej taśmy ze słuchowiskiem pt. „Lwowskie Boże Narodzenie”. Taśma składa się z dwóch części – „Idą święta” i „Przy wigilijnym stole”.

Oprócz koled, dialogów i wędrowki po Lwowie – wiersze Witolda Szolginii i Jerzego Masióra. Taśma jest do nabycia w siedzibie Wrocławskiego Oddziału TML i KPW we Wrocławiu przy ul. Włodkowica nr 8.

Umili wam święta i przeniesie Was do Lwowa.

Jeśli chcecie mieć lwowskie święta – proszę kupcie taśmę z autentyczną muzyką lwowskiego podwórka – wykonywaną przez niewymagającą reklamy Kapelę Podwórkową z Przemysła. Do nabycia u p. Adama Wojdyły:
37-700 Przemyśl, ul. Granwaldzka 54a/15,
tel. 46-270.

ELEGANCKI PENSJONAT

„EDEN”

w Karpaczu, przy ul. Reymonta 2
(Wilcza Poręba)

serdecznie zaprasza

zgłoszenia telefoniczne:

Świdnica (074) 52-21-50
(074) 52-67-11



Szybko – Solidnie – Tanio

PIECZĄTKI GUMOWE olejo- i kwaso-odporne
ROMAN NIEDZIÓŁKA
ul. Kątecka 93, 55-020 GNIECHOWICE
tel. WROCŁAW 168781

CZYTAJ GAZETĘ LWOWSKĄ

Do nabycia:

Zarząd Główny TML i KPW – Wrocław – Ratusz 7/9

Księgarnia Ossolineum – Wrocław – Rynek 7/9

Prenumerata BDK w Lublinie,

II O / Rzeszów 336806-17907-132

MAMALYGA

TEKST: JERZY MASIOR
MUZYKA: ALEKSANDER PORZUCEK

40

Lista Darczyńców na Fundację Kresową (w m-cu X-XI 1993 r.)

Monika Urbanowska, Łódź	70 000,—	Rudolf Veit, Chicago	1 024 400,—
Wiktor Mokoszek, Jelenia Góra	100 000,—	Tadeusz Szemielowski, Kraków	100 000,—
Stanisław Kozuła, Suwałki	100 000,—	Prof. Jerzy Punzet, Kraków	100 000,—
Ryszard Jaskuła-Sieraków	100 000,—	Zdzisław Kłoe, Krosno	50 000,—
Wojciech Janola, Katowice	150 000,—	Tadeusz Skrobek, Kłodzko	100 000,—
Józef Bieńko, Stalowa Wola	1 875 000,—	Adam Akielaszek, Łukowice	
Antonina Żemantowska, Warszawa	100 000,—	woj. Legnica	100 000,—
Karol Prass, Gliwice	100 000,—	Tadeusz Wodziński, Lubliniec	100 000,—
A. Różycka, Katowice	100 000,—	Tadeusz Durak, Olsztyn	200 000,—
Kazimierz Walczak, Rzeszów	100 000,—	Agnieszka Sawaryn, Koszalin	100 000,—
Wojciech Spólnik, Jasło	50 000,—	Urząd Wojew. Wydział	
Tadeusz Wodziński, Lubliniec	100 000,—	Finans. i Planow. Wrocław	6 000 000,—
Tadeusz Świątnicki, Przemyśl	100 000,—	Tadeusz Wodziński, Lubliniec	100 000,—
Stefania i Jerzy Skotniewscy, Olsztyn	100 000,—	Zofia Bielowska, Cibor	250 000,—
Stefan Przyszlak, Twardowa	400 000,—	Maria Rosiej Pawulska,	
Władysław Mierziak, Przemyśl	100 000,—	Bogota New Jersey	594 100,—
Józef Tarka, Zielona Góra	500 000,—	Antonina Thiel Ann Arbor USA	100 \$
Alma Heczkowa, Bytom	50 000,—	Irena Thiel Ann Arbor USA	100 \$
Józefa Guzek, Bytom	40 000,—	Grażyna Stankiewicz, Bydgoszcz	120 000,—
Jan Michalski, Radwanice	50 000,—		
Stanisław Karpiak, Wrocław	1 000 000,—	Redakcja Semper Fidelis dziękuje serdecznie p. I.T. z Michigan	
Zofia i Tadeusz Krzyśków, Bytom	100 000,—	(USA) za przesłane wydawnictwo „Encyklopedia of Ukraine”	
Stanisław Szybolski, USA	383 000,—	(6 tomów — cena 884 dolary USA)	
Albin Pietrus, Jasło	200 000,—		

Serdecznie Wszystkim dziękujemy.

Listę sporządziła:
mgr Danuta Tabińska-Juhasz

OD WYDAWCY

Zachęcamy w dalszym ciągu naszych Czytelników do dokonania wpłat na prenumeratę pisma S.F. Ponawiamy informację, że od roku 1994 pismo nasze będzie dwumiesięcznikiem, które oprócz historycznych opracowań, wspomnień z różnych zagadnień dot. Małopolski Wschodniej, będzie również aktualnie odzwierciedlać obecne problemy środowiska kresowego, oraz życie w poszczególnych Oddziałach i Klubach TML i KPW w całym kraju.

Prenumeratę przyjmujemy:

na cały rok w wys. — 120 000 tys. zł
za okres półroczny w wysokości — 60 000 tys. zł
na zagranicę w wys. równowartości — 15 \$

Uwaga! na zamówienia listowne, bez dokonania wcześniejszej wpłaty, nie będziemy od nowego roku realizować wysyłek do domu.

Numery gratisowe są wysyłane w formie podziękowania tylko dla Darczyńców, dla reklamujących się na łamach naszego pisma, oraz autorom publikowanych artykułów.

Zastrzegamy sobie prawo do podwyżki ceny prenumeraty w ciągu roku w razie wzrostu kosztu druku i ceny porta pocztowego.

Ponadto zapraszamy do reklamy wg. poniższego cennika:

cała strona — 6 000 000 zł

1/2 „ — 2 000 000 zł

1/8 „ — 1 000 000 zł

Za jedno słowo — 10 000 zł.

Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku przyłączamy się do ogólnych życzeń zamieszczonych w naszym piśmie i życzymy Drogim Czytelnikom „Semper Fidelis” Wesołych i Dostatnych Świąt, oraz samych słonecznych i pogodnych dni w 1994 Roku.

Wydawca — Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”

W imieniu Rady
Fundatorów
Przewodniczący
mgr Jan Ziembicki

W imieniu Zarządu
Fundacji
Prezes
mgr Danuta Tabińska-Juhasz

FUNDACJA KRESOWA „SEMPER FIDELIS”

Fundacja została powołana w grudniu 1990 roku we Wrocławiu. Celem Fundacji jest:

- *ochrona dziedzictwa historycznego i kulturalnego Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,*
- *wszechstronna pomoc społeczności polskiej zamieszkującej Kresy,*
- *szerzenie prawdy historycznej o roli i znaczeniu Kresów Wschodnich w dziejach narodu polskiego.*

Cele te Fundacja zamierza realizować poprzez:

- *gromadzenie i efektywne wykorzystanie środków finansowych i rzeczowych otrzymywanych z kraju i zagranicy,*
- *działalność wydawniczą – kontynuowanie wydawania pisma Lwowian i Kresowian „Semper Fidelis” oraz innych wydawnictw związanych z szeroko pojętą tematyką kresową,*
- *organizowanie kolonii, obozów, zimowisk dla dzieci rodzin polskich w Ojczyźnie, pobytów leczniczych i sanatoryjnych dla najbardziej potrzebujących,*
- *fundowanie stypendiów dla uczniów i studentów,*
- *wspieranie inicjatyw zmierzających do ratowania i ochrony pamiątek przeszłości tych ziem,*
- *współpracę z innymi organizacjami krajowymi i zagranicznymi zajmującymi się dawnymi i najnowszymi dziejami Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej,*
- *popieranie działalności popularyzatorskiej i naukowej odnoszących się do tego regionu.*

Fundacja przygotowana jest, przy dodatkowym wsparciu finansowym, do prowadzenia wszelkiej działalności przedstawicielskiej, wytwórczej, handlowej, turystycznej i artystycznej.

Każdy dar pieniężny lub rzeczowy przyczyni się do ocalenia polskiego dziedzictwa kulturowego, pomocy dla ludzi jej potrzebujących, wsparcia duchowego i materialnego Polaków obecnie zamieszkujących na Kresach.

Prosimy o powiadomienie swoich krewnych, przyjaciół, znajomych i klientów o istnieniu i działalności Fundacji. Będziemy wdzięczni za każdy, nawet najskromniejszy datek.

Uprzejmie informujemy, że zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi – z podstawy opodatkowania odlicza się kwotę dotacji przekazanych na działalność Fundacji.

Nasze konto:

PKO IV/O Wrocław 93549-10 012-132-3.

Wrocław, Rynek Ratusz 7/9. Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”.